

Dziś w numerze: Łóżko za 100 tys. zł • Z problemów młodej literatury • Listy Czechowa • Pies a sprawa polska • Opowiadania • Recenzje • Felietony

odgłosy



Nr 42 (456)
22. X. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X



JAN BABIŃSKI

Parlez - vous français?

Przyznam, że wiadomość o jeszcze jednym eksperymencie w nauce języków obcych wprowadziła mnie w zakłopotanie. Do Paryża przez sen — i to od razu na sam szczyt Tour Eiffel. Kładziesz się do łóżka, jesteś pogrążony w słodkich marzeniach, a rano masz głowę nabitą wszystkimi mądrościami o francuskiej fleksji, fonetyce, składni i słowotwórstwie. Śnijcie, śnijcie panowie, Łódź przoduje, Łódź czerpie z najnowszych, światowych doświadczeń...

Cóż to znowu za heca? Nabieranie naiwnych? Czy intencją przedsiębiorczych ludzi, którzy przepadają za nowinkami i wierzą rzeczywiście, że bez wysiłku i tanim kosztem można wykuć na cienką blachę tysiące słówek i worek obcojęzycznych zwrotów? I to we śnie.

Co do mnie nie wierzę. Od urodzenia słyszy jeden tylko język. Potem, na szkolnej już ławie śliczy latami nad zawilosciami polskiej gramatyki. A gdy wreszcie jest dopuszczony do maturalnego egzaminu, robi tyle ordynarnych błędów, głównie gramatycznych, co jeszcze ciekawsze także ortograficznych, że starym pedagogom resztki włosów stają na głowie, i z czułością wspominają czasy, kiedy to mury ścianującego się gimnazjum opuszczało tylko kilkunastu absolwentów rocznie, czasem jeszcze mniej — bo cała reszta ścinała po drodze. Trup padał gęsto, ale kto dobrał do celu, ten jako tako władał ojczystym językiem. Dlatego w bajki nie wierzę. Dyktafony, magnetofony, gramofonowe płyty... Zgoda... Wszystkie te urządzenia mogą być pomocne w nauce języka, ale nie poza tym. Nie one są najważniejsze.

Mam w tym zakresie pewne doświadczenie.

Każdy obcy język to dżungla. Aby nie zgubić tropu, trzeba w tej dżungli codziennie, uporczywie, z samozaparciem i samodyscypliną wycinać krok po kroku wąską początkowo ścieżkę, nim się wreszcie dotrze do polany, na której jaśnieją pierwsze światła. Karczowanie. Takie do samych korzeni. Trwać może ono nawet lat kilkanaście. Sadzę, że przy pewnym wysiłku można się wyuczyć 100 słówek dziennie. Tej sztuki dokonywałem nie raz. Ale łatwe natychmiastowe odrzucanie właściwego słowa z pamięci przychodzi dopiero po latach. Różne są przecież stopnie wtajemniczenia i różnej szerokości ścieżki. Stopień najwyższy to umiejętność myślenia w obcym języku. Posiedli ją tylko najwybitniejsi tłumacze zawodowi, którzy strzelają, niemal bez zastanowienia jak z procy, krągłymi, bezbłędnymi zdaniem o szalenie długich okresach.

Po wyjątkowo trudnym dyktandzie z Flauberta w Instytucie D'Etudes Françaises w Tours nad Loarą, jedna ze słuchaczek przemówiła raptem po angielsku:

— I am sorry, very, very much, indeed... Profesor Trioux podniósł uspokajająco ręce do góry.

— Niech się pani nie martwi. Paryżanie robią jeszcze więcej błędów.

Angielka, siwa już pani, była wykładowczynią francuskiego w jednej z „public school” i wydawało się jej, że co jak co, ale język Woltera ma w małym palcu. Przybyła do Tours, by nasycić ucho współczesną francuszczyzną. Lektor nie może tracić kontaktu z tym żywym, codziennym językiem, bo książkowym, na dobrą sprawę nikt nie mówi. Żaden język nie zastępną przecież w niezmiennym kształcie. Paryżan śmieszy francuszczyzna Kanadyjczyków z Quebec, nas zadziwia język Opolan. A mieszkańcy Tours są przekonani, że tylko oni mówią poprawnie. Paryżanie — proszę pana — posługują się „franglais”, więc francuskim z silną domieszką angielskiego... Kiedyś podczas „debat” użyłem słowa weekend, Profesor zmarszczył się:

— Nie rozumiem co pan ma na myśli. — Fin de semaine — czy tak?

Tours obok Grenoble to dziś największy

EWA SIEMIŃSKA

Stress studiów

Od 1960 roku działa w Łodzi Poradnia Zdrowia Psychicznego dla Studentów. Do roku 1966 zarejestrowano w niej — nie licząc zgłoszeń jednorazowych, obliczonych wyłącznie na uzyskanie zwolnienia lekarskiego — blisko tysiąc pacjentów cierpiących na nerwice lub zaburzenia psychiczne. Wśród zgłaszających się po lekarską pomoc zaznaczyła się lekka przewaga mężczyzn, nie na tyle jednak znamienita, by mówić o płci jako wyróżniku statystycznym.

Dla około 75 proc. pacjentów diagnoza brzmiała: nerwica. Dla reszty, a więc 1/4 ogółu: psychozy lub choroby organiczne, a więc schorzenia będące przedmiotem tzw. „wielkiej psychiatrii”. Właściwie określenie „nerwice” dla owej większości zgłaszających się jest nieco za wąskie, chodzi tu mianowicie zarówno o nerwice właściwe typu neurastenicznego, lekowego, wegetatywnego itp., jak również o zaburzenia osobowości, trudności adaptacyjne (przystosowawcze), a więc cierpienia

Dc. na str. 3

Dalszy ciąg na str. 4



Trzydniowa wizyta premiera Indii w Polsce, którą Indira Gandhi zapoczątkowała podróż do czterech krajów Europy wschodniej i Zjednoczonej Republiki Arabskiej, wzbudziła zainteresowanie. Okres, w jakim doszła ona do skutku, przesądzał z góry, że najtrudniejsze problemy obecnej doby, a więc i Wietnam, i Bliski Wschód, będą tematem rozmów. Sugerował to zresztą „Times of India”, który u progu wizyty pisał: „między Indią a krajami Europy wschodniej nie ma żadnych problemów spornych”, dając tym samym do zrozumienia, iż zakres rozmów wykracza poza stosunki dwustronne.

Komunikat po warszawskich rozmowach potwierdził przypuszczenia. Wynika z niego, że szczególną uwagę poświęcono sytuacji w Wietnamie, uznając, że „konflikt ten powinien być rozwiązany w oparciu o układy genezyjskie i o prawo narodu wietnamskiego do decydowania o swoim losie”. Rozmawiające strony podkreśliły, że pierwszym i niezbędnym krokiem na tej drodze musi być niezwiązanie z żadnymi warunkami przewracanie bombardowań Demokratycznej Republiki Wietnamu.

Przedmiotem rozmów była ponadto sytuacja na Bliskim Wschodzie, bezpieczeństwo europejskie i azjatyckie, rozbrojenie i związane z nim problemy.

Oczywiście dokonano także przeglądu wzajemnych stosunków stwierdzając postęp w wielu dziedzinach oraz zapowiadając dalszy rozwój współpracy gospodarczej.

Premier Indira Gandhi zaprosiła premiera Cypriankiewicza do złożenia wizyty w Indii. W tym miejscu przypomnijmy Czytelnikom, że bezpośrednie kontakty czołowych osobistości Polski i Indii mają już swoją tradycję. W Indi przebywał Aleksander Zawadzki i dwukrotnie Józef Cyrankiewicz. Polska gościła natomiast niezwykłego ojca państwa Gandhi — premiera Nehru. Spośród krajów, które obecnie odwiedza premier Indii — szczególne zainteresowanie wzbudziły rozmowy w Jugosławii, a także zapowiedź dialogu w Zjednoczonej Republice Arabskiej. Tu bowiem dominującym tematem jest aktualna sytuacja na Bliskim Wschodzie.

Podróż Indiry Gandhi zbiegła się z nową serią konsultacji dyplomatycznych i sondażu, które mają na celu znalezienie politycznego rozwiązania kryzysu. Agencje zachodnie piszą o możliwości pośrednich rozmów (a więc przez mediatora) między zainteresowanymi stronami. W dalszym ciągu jednak brak uzasadnionych podstaw do optymizmu. Nie daje ich postawa Izraela, który nie rezygnuje z prowokacji wobec krajów arabskich i nieprzerwanie prowadzi akcje osadnicze na okupowanych przez siebie terenach. Blokują to możliwości rozstrzygnięć politycznych.

Ostatnie dni przyniosły natomiast potwierdzenie, że przedstawiciele ZRA i Stanów Zjednoczonych utrzymują z sobą kontakt. Potwierdził to sekretarz generalny ONZ — U Thant, dodając, iż owe rozmowy mogą zdecydować, czy zbierze się Rada Bezpieczeństwa i jakie byłoby ewentualne szanse podjęcia przez nią problemu konfliktu bliskowschodniego.

Jak wiadomo — konflikt ten znalazł poczesne miejsce w debacie generalnej ONZ, która zakończyła się pod koniec ubiegłego tygodnia, po wystąpieniach przedstawicieli 109 krajów członkowskich.

Cechą charakterystyczną dyskusji było niemal jednomyślne stanowisko mówców, sprzeciwiających się okupowaniu arabskich ziem przez Izrael. Obserwatorzy oceniają, że osłabiło to pozycję Stanów Zjednoczonych jako zdecydowanego sojusznika agresora. Tym bardziej, że wbrew ich nadziejom nie zarysowały się rozbieżności między krajami arabskimi.

Czy i jak wpłynie to na rozwiązanie bliskowschodniego problemu — trudno oczywiście przewidzieć.

Skoró piszę o debacie generalnej — kilka uwag o dominującym na niej zagadnieniu: — wojnie wietnamskiej.

Rzecz bardzo interesująca — zaledwie cztery kraje, a mianowicie: Australia, Filipiny, Nowa Zelandia i Syjam udzieliły poparcia amerykańskiej agresji. 47 państw członkowskich domagało się bezwarunkowego przerwania aktów militarnych wobec DRW, 42 natomiast — rozstrzygnięcia politycznego, bez ustosunkowania się jednak do bombardowań. W tej ostatniej grupie przeważały kraje Ameryki Łacińskiej, których przedstawiciele unikali otwartego ataku na Stany Zjednoczone. Wynik debaty i pod tym względem jest wielce niekorzystny dla Waszyngtonu, który jednak, sądząc po nasilaniu ataków lotniczych na DRW, nie zamierza wyjść naprzeciw życzeniom większości delegacji, aby przyspieszyć polityczne rozwiązanie problemu.

Prawie 4-tygodniowa debata generalna w ONZ wykazała z całą mocą, jak wysoka jest troska krajów o przyszłość świata. Tym trzeba uzasadnić fakt, że tylko nieliczni mówcy nie ustosunkowywali się do tak zasadniczych problemów, jak: Wietnam, Bliski Wschód, a także rozbrojenie. I to też powoduje, że zagadnienia te przewijają się przez rozmowy polityczne w czasie wizyt mężów stanu...

W. SŁAWSKI

Tygodnik tygodnia



(Stuttgarter Nachrichten).

▲ AFP o konferencji prasowej sekretarza stanu Russka: „Argumenty Russka nie są w stanie zlagodzić uczucia niepokoju, które ogarnęło cały kraj, ani też zlikwidować „kryzysu zaufania”, który pogłębia się na oczach, jednakże w chwili, kiedy rozpoczyna się kampania wyborcza, jest rzeczą logiczną, że prezydent Johnson zwraca się do szefa swej dyplomacji, aby wystąpił on w obronie jego polityki wietnamskiej”. AFP podkreśla, że Russk zwracał się nie tylko do trzystu dziennikarzy, z których składało

tej podróży i odpowiednio do tego wyznaczył moment ataku?”

Młodość jest okresem w życiu, który byłby dużo piękniejszy, gdyby przychodził później.

BERTRAND RUSSELL

▲ AFP o przemówieniu Czou En-laja wygłoszonym w czasie przyjęcia delegacji albańskiej: „Czou En-laj po raz pierwszy zwięźle powie dział to, czego dotąd nie powiedział żaden z innych przywódców chińskich. Po pierwsze to, że rewolucja kulturalna nie jest zakończona, ani nawet w pewnym sensie jeszcze się nie rozpoczęła, bowiem ostatecznym celem rewolucji kulturalnej jest przekształcenie ludzi, a w szczególności kadry. Po drugie, dlatego, że walki między ugrupowaniami rewolucyjnymi trwają wciąż w niektórych rejonach Chin i po trzecie, że rewolucja kulturalna spowodowała pewne zahamowania w produkcji”.

▲ Na pytanie Gallupa, jaki rząd w obecnej sytuacji gospodarczej byłby najlepszy dla Wielkiej Brytanii? — aż 41 proc. uczestników ankiety odpowiedziało, że rząd koalicyjny sformowany z przedstawicieli labourystów, konserwatystów i liberalistów. Odpowiedzi są sygnałem, że przeciętny obywatel nie widzi żadnej różnicy między rządami labourystowskim i konserwatywnym.

▲ W ciągu ostatnich trzech miesięcy przywódcy pekińczy skierowali ponad 20 not z pogrozkami pod adresem rządu Birmy. Z polityki wielkomocarstwowej szowinizmu noty te stwierdzają, że „birmański rząd Ne Wina zostanie surowo ukarany przez naród chiński i jego armię ludowo-wyzwoleńczą”. Maoiści usiłują wywoływać stan napięcia na granicy chińsko-birmańskiej i w samej Birmy wykorzystując w tym celu chińskich imigrantów i birmańskie siły opozycyjne. Samowładzanie pekińskich wobec Birmy i innych krajów sąsiadujących wywołuje trwogę i niepokój narodów wielu krajów azjatyckich — stwierdza „Prawda” w komentarzu na temat stosunków chińsko-birmańskich.

▲ Zachodniobermberska prapremiera sztuki Hochhutha „Żołnierze”, której wystawienie w Wielkiej Brytanii zostało zakazane przez głównego cenzora teatralnego lorda Chamberlaina, stała się przyczyną ukazania się na łamach prasy brytyjskiej rozważań, czy Hochhuthowi można przypisywać tendencje „wybielanie” Niemców. Financial Times stwierdza: „Nawet „Der Spiegel”, który musi być skłasyfikowany jako przyjaźnie nastawiony do Hochhutha, za-

uważył mimochodem, że w obu sztukach Hochhuth obciąża nie — Niemców wspólną odpowiedzialnością za zbrodnie rozpoczęte przez Niemców”.

▲ Władze miejskie w Pekinie wydały zarządzenie w sprawie immatrykulacji studentów wyższych uczelni. Immatrykulacja przeprowadzana będzie stopniowo we wszystkich wyższych uczelniach chińskich w miarę uspokajania się sytuacji powstałej w procesie rewolucji kulturalnej.

▲ J. Reston o problemach przyszłych pokoleń: „Głównym problemem nie jest ani Johnson, ani de Gaulle czy Mao, lecz utrzymanie pokoju, niebezpieczeństwo wojny rasowej między głodnymi, rolniczymi narodami kolorowymi i zamożnymi, uprzemysłowionymi narodami białymi, oraz niebezpieczeństwo wojny między rasami i klasami w Stanach Zjednoczonych i Ameryce Łacińskiej”.

▲ Pragnąc pozbyć się najbardziej kłopotliwych elementów czerwonostrawych władz Pekinu zalecają im obecnie udać się do „prac reedukacyjnych” w komunach ludowych Mongolii Wewnętrznej. Liczne grupy młodych studentów rewolucyjnych, w tym kilku szefów studenckich organizacji rewolucyjnych, udało się ochotniczo uprawiać ziemię u boku tamtejszych członków komun ludowych. Ci młodzi ludzie — pisze Sin Hua — dokonali postępu w „samorewolucjonizowaniu się”.

▲ W Rumuni opublikowano projekt reorganizacji podziału administracyjnego kraju. Projekt przewiduje, że w miejsce dotychczasowych 16 regionów (województw) oraz 150 dotychczasowych rejonów (powiatów) powstaną 40-45 powiatów, które otrzymałyby dawniejszą nazwę „judet”. Nastąpi zbliżenie władzy terenowej do władz centralnych — z jednej strony, i do ludności — z drugiej.

Co tylko państwo nie przedsięwzię, kosztuje dużo pieniędzy, nawet akcja oszczędnościowa.

PIERRE MENDES-FRANCE

▲ Pełniący obowiązki prezydenta Indonezji generał Suharto dokonał reorganizacji rządu. Zdaniem korespondentów, reorganizacja umacnia pozycję gen. Suharto. W jej wyniku uległ znacznemu rozszerzeniu zakres jego bezpośredniej kontroli nad siłami zbrojnymi przez likwidację stanowisk ministrów lotnictwa, sił lądowych, marynarki wojennej, policji, które zostały połączzone w jedno ministerstwo obrony i bezpieczeństwa, a na jego czele stanął sam Suharto. Osłabiła także pozycję Adama Malikę, uwanego swego czasu, obok Suharto i sultana Buwono, za jednego z członków trium-

wiratu sprawującego rzeczywiście władzę w Indonezji.

▲ Rząd brytyjski zaniepokojony jest wzrastającym „drenażem mózgów”. W oficjalnym sprawozdaniu stwierdza się, że codziennie emigruje z Wielkiej Brytanii siedmiu ludzi z wyższym wykształceniem. Większość z nich udaje się do Stanów Zjednoczonych. Sprawozdanie podkreśla, że decyzja o budowaniu ograniczonego systemu przeciwrakietowego przez Stany Zjednoczone jest uważana za czynnik przyciągający setki, jeśli nie tysiące, brytyjskich uczonych. USA potrzebuje obecnie 83 tys. uczonych a tylko połowę tej liczby mogą dostarczyć uniwersytety amerykańskie.

Im człowiek bardziej organizuje swoje życie na zasadzie planowej, tym bardziej w życiu jego rolę odgrywa przypadek.

FRIEDRICH DURRENMATT

▲ Teatr chińskiej armii ludowej wystawił pierwszą sztukę teatralną, atakującą bezpośrednio „chińskiego Chruszczowa”, tj. przewodniczącego republiki Liu Szao-tsi. Chodzi tu o pięcioktówkową sztukę zatytułowaną „Wieża drzewa świętojańskiego” ilustrującą poglądy Mao Tse-tunga na temat walki klas w społeczeństwie socjalistycznym i na temat systemu spółdzielczego w rolnictwie.

Siła niektórych polityków leży w słabości ich przeciwników.

EDGAR FAURE

▲ W czasie debaty generalnej w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ 47 państw za pośrednictwem swoich delegatów domagało się bezwarunkowego przerwania bombardowań DRW. W grupie tej obok przedstawicieli państw socjalistycznych znaleźli się reprezentanci większości krajów Europy zachodniej, w tym członkowie NATO, Kanada, większość delegatów Afryki i Azji. Stanowisko popierające wojnę wietnamską zajęły poza delegacją USA, jedynie cztery inne delegacje krajów uczestniczących zresztą w tej wojnie: Nowej Zelandii, Australii, Filipin i Syjamu. Cztery zaś delegacje poparły wywoły Goldberga na temat warunków zaprzestania bombardowań i działań wojennych. Były to delegacje: Japonii, Wielkiej Brytanii, Turcji i Izraela.

▲ Włoski tygodnik o tendencjach lewicowych „Astrolabio” publikuje tajny raport wywiadu amerykańskiego, z którego wynika, że działalność szpiegowania członków rządu, posłów, senatorów oraz przedstawicieli opozycji zapoczątkował i zorganizował obecny przewodniczący partii chrześcijańsko-demokratycznej Mario Scelba, wielokrotny minister spraw wewnętrznych,



Najemnicy w Kongo: — Część kolego, III kompania „Miedź i Cynk CO”, — Czołem, II kompania „Eksport Bananów CO”.

Stress studiów

Dc. ze str. 1

funkcjonalne, będące przedmiotem tzw. „małej psychiatrii”. W grupie psychotyków i chorób organicznych najczęstszym przypadkiem jest schizofrenia. Sporadycznie tylko trafiają się pacjenci z psychozami z kręgu maniako-depresyjnego. Niewielka ilość przypadków to padaczka, przeważnie z nietypowymi napadami. Analiza zgłoszeń nie wykazała zmiennych różnic zależnych od typu uczelni. Czynnikiem różnicującym okazał się natomiast rok i kierunek studiów. Przede wszystkim rzuca się w oczy rokrocznie pojawiająca się prawidłowość: największa ilość pacjentów to studenci I i II roku studiów. W cyfrach:

studenci I roku studiów	— 35% pacjentów
studenci II roku studiów	— 26% pacjentów
studenci III roku studiów	— 10% pacjentów
studenci IV roku studiów	— 12% pacjentów
studenci V roku studiów	— 14% pacjentów
studenci VI roku studiów	— 3% pacjentów

Z obliczeń wynika, że na różnego typu nerwice, zaburzenia osobowości i psychozy cierpi w Łodzi ponad 7% ogółu studiujących. Najczęściej zgłaszają się do Poradni Zdrowia

czyn ilościowej dominacji tych dwóch kierunków studiów w statystyce Poradni lekarze próbowali szukać w zbyt słabej chyba jednak selekcji kandydatów na egzaminach wstępnych na Wydziale Prawa i szczególnie trudnym programie nauczania na Wydziale Elektrycznym — „świeżo upieczeni” studenci nie są mu w stanie poddać i nie potrafią w tak szybkim tempie przystosować się do trybu zajęć na uczelni.

Próby samobójcze wśród pacjentów Poradni to mniej więcej dwa, trzy przypadki rocznie. Poradnia nie dysponuje danymi dotyczącymi problemu alkoholizmu wśród młodzieży akademickiej. Warszawskie doświadczenia w tej mierze wskazują, że alkoholizm nie jest wśród studiujących zjawiskiem częstym. Przypadki zgłaszane, to najczęściej umiarowane nadużywanie alkoholu, przeważnie taniego wina, powodujące zaburzenia snu, lek, a niekiedy nawet krótkie epizody przedeliryjne. Bardzo rzadko trafiają się wśród studentów „typowi” zdegenerowani alkoholicy. Łódzka Poradnia nie notuje wypadków narkomanii. Warszawska podaje, że narkomania występuje wśród młodzieży akademickiej niezwykle rzadko. Statystyka sporządzona w Łodzi pokrywa się w zasadzie z łódzką. I tak Warszawa informuje, że zachorowalność na nerwice i choroby psychiczne była w latach 1961—1965 praktycznie stała i wynosiła 8 proc. studiujących. Kobiety i mężczyźni reprezentowani byli w zaburzeniach tego typu proporcjonalnie. Największą liczbę pacjentów dostarczają warszawskiej poradni kierunki artystyczne i humanistyczne, średnia — nauki ścisłe i kierunki techniczne, najmniej — medycyna i wychowanie fizyczne. Jak twierdzi dr J. Platau z Warszawy — nie można na podstawie tak ułożonej statystyki wysnuwać pochopnych wniosków, że ten lub inny kierunek studiów jest bardziej „obciążający”, „stressujący”; przyczynę takiego stanu rzeczy widzi raczej w pewnym nagromadzeniu osób z nieprawidłowymi cechami osobowości na poszczególnych wydziałach. W Warszawie — jak i u nas — uważają pacjenci z zaburzeniami cech osobowości oraz nerwicami.

W kwietniu ubiegłego roku odbywało się w Krakowie międzynarodowe sympozjum w sprawie studenckiej służby zdrowia, w którym wzięli udział kilkanaście państw europejskich. Mieliśmy wówczas możliwość skonfrontować polskie obserwacje z tym, co się dzieje na szerokim świecie. Kolosalnemu wzrostowi liczby studentów w całej Europie w latach powojennych (niemal wszędzie kilkakrotnie) towarzyszyły olbrzymie odświeżenia studiów i albo odpada w czasie sesji egzaminacyjnej, albo

studiujących, a czasem nawet sięga 80 proc. Wskutek naturalnej selekcji nie występują w środowisku akademickim pewne grupy psychiatryczne: niedorozwój umysłowy, cięższe formy psychopatii, ani wczesne postaci schizofrenii — z wyjątkiem objawów wstępnymi z okresu szkolnego. Uczestnicy sympozjum zgodni byli co do tego, że nigdzie nie notuje się „epidemii” samobójstw, mimo że tak interpretowano w swoim czasie skoki samobójcze z wieży trzech studentów w Getyndze. Natomiast w wielu ośrodkach zanotowano tzw. lekomanie, głównie nadużywanie leków nasennych, meprobamitu i związków benzodrynowych. Na ogół nie dochodzi jednak do utrwalenia nałogu. Nadużywanie leków ogranicza się do krótkiej lub dłuższej reakcji sytuacyjnej. Narkomania nie jest prawie notowana przez studencką służbę zdrowia w Europie. Wyjątek stanowiła mała grupka w Londynie, używająca marihuany.

Tak wyglądają fakty i cyfry. Uderza w nich zbieżność dwóch danych: olbrzymiego odświeżenia w I roku studiów i największej w tym właśnie okresie liczby zachorowań na nerwice oraz zaburzenia osobowości. Czy zbieżność ta jest przypadkowa, czy też prowadzi do wspólnego źródła przyczynowego? Czy zagadnienie nerwicy i chorób psychicznych wśród studentów posiada swoją specyfikę, czy też należy je rozpatrywać jedynie w kategoriach psychiatrii i neurologii ogólnej? Z tymi pytaniami zwracam się do dr Ryszarda Krasilewicza, kierującego z oddziałem naszej Akademickiej Poradni Zdrowia Psychicznego:

— Konflikty środowiska studenckiego nie są typowe dla pozostałych grup naszego społeczeństwa i winny być traktowane odrębnie — mówi dr Krasilewicz. — Chwilowe dolegliwości somatyczne (cięższe), jakas depresja, przemijająca niedyspozycja dla urzędnika lub pracownika fizycznego nie mają właściwie większego znaczenia. Kiedy ustąpią — wraca on natychmiast do dawnego rytmu pracy i życia. Inaczej wśród studentów — takie niedyspozycje powodują załamanie się owego rytmu, konsekwencje widoczne są i później. U podłoża konfliktów typowych dla środowiska młodzieży akademickiej leżą głównie dwa zjawiska: wadliwa czasem struktura studiów i niedoświadczenie emocjonalne studentów.

— Młody człowiek przychodzący na studia staje się osobą a o nim owa, numerem w indeksie. Równocześnie traci oparcie o normy, które obowiązywały w środowisku, w jakim się dotychczas obracał. Wszystko musi zaczynać wiece od nowa: przystosować się do zupełnie odmiennego od szkolnego trybu zajęć uczelni i wejść w środowisko studenckie, posiadające swój charakterystyczny model zachowania, pozostający najczęściej w konfliktach z modelem zachowania reprezentatywnym dla wymogów uczelni. A przecież jest to człowiek, który pod względem psychicznym nie wyszedł jeszcze z okresu dojrzewania. Olbrzymia liczba młodzieży nie wytrzymuje tego kolosalnego przeskoku życiowego, jakim jest dla niej początek studiów i albo odpada w czasie sesji egzaminacyjnej, albo

też konflikty, w jakie daje się uwikłać, stają się u niej podłożem zaburzeń osobowości, nerwicy czy nawet schorzeń psychicznych. „Administrujący” stosunek władz niektórych uczelni do studenta, jaki niejednokrotnie daje się zaobserwować, pogłębia jeszcze te konflikty. W praktyce naszej Poradni zdarzało się, że uczelnia nie honorowała zaświadczeń wystawionych przez tę



placówkę, a leżonego przez nas pacjenta uważała po prostu za symulanta. Z ubolewaniem trzeba stwierdzić, że — niestety — część pracowników dydaktycznych naszych wyższych uczelni traktuje studenta wyłącznie jako produkt oddziaływania, nie dostrzegając jego osobowości.

— Bardzo istotny jest problem niedoświadczenia emocjonalnej młodzieży akademickiej — mówi dalej dr Krasilewicz. — Nasza szkoła średnia najczęściej nie przygotowała do studiów, a jeszcze gorzej — do życia. Maturzyści, jak dotąd, wychodzą ze szkoły bez umiejętności korzystania z własnych doświadczeń, wyciągania z nich konstruktywnych wniosków. Stąd bierze się u studentów odkładanie wszystkiego do ostatniej chwili na zasadzie „jakoś tam będzie”. A potem — następuje często uruchomienie nie mechanizmu paniki obronnej, różnych odczynów lekowych w okresie sesji egzaminacyjnej. Lek staje się podłożem reakcji nerwicznych. Oto bardzo częsta przyczyna zgłaszania się studentów do Poradni.

Tak więc u podłoża obu zjawisk: olbrzymiego odświeżenia studiów na I roku studiów i dużej liczby zachorowań na nerwice i zaburzeń charakteru w tym okresie — leżą wspólne, skomplikowane i niełatwe do usunięcia przyczyny. Wynika to jasno ze słów mojego rozmówcy. Socjologowie (Jan Szczepański) nazywają ten pierwszy etap studiów okresem „stawiania się studenta”. Wchodzenia przez niego do nowego roli społecznej przy jednoczesnym wyizolowaniu spod kontroli „grupy pierwotnej” — rodziny, szkoły, słowem środowiska, w którym obracał się dotychczas. To okres ście-

rania się różnych norm, postaw i modeli zachowań. Okres trudny, przełomowy, pełen konfliktów.

Poradnia Zdrowia Psychicznego dla Studentów jest jednostką wydzieloną, podległą Zespołowi Leczniczo - Profilaktycznemu dla Studentów (dawna „PALMA”). Pod względem fachowym — podlega Przychodni Chorób Układu Nerwowego m. Łodzi. Oprócz leczenia zaburzeń psychicznych i nerwicznych do zadań Poradni należy szeroka działalność profilaktyczna, tj. pogadanki, prelekcje oraz udzielanie świadczeń konsultacyjnych.

Przychodnia notuje bardzo dużo zgłoszeń po poradnictwo w sprawach seksualnych. Nie są to jedynie świadczenia konsultacyjne. Udziela się także — w razie potrzeby — porad lekarzom innych specjalności; współczesna medycyna nie może się obyć bez takiej współpracy. Bardzo często Poradnia pomaga rozwiązywać studentom trudności środowiskowe (adaptacyjne) oraz trudności w uczeniu się, związane z nie przystosowaniem do nowego trybu życia. Sprawuje też opiekę nad osobami wypisanymi ze szpitali psychiatrycznych i neurologicznych.

Poradnia gwarantuje studentom dochowanie tajemnicy lekarskiej, nieujawnianie kart chorobowych władzom uczelni w wypadkach, gdyby mogło to przynieść zainteresowanemu jakąkolwiek szkodę.

Struktura organizacyjna Poradni: gabinet terapeutyczny, pracownia psychologiczna i gabinet neurologiczny. I jeszcze jedna „komórka” — beniaminek dr Krasilewicza i pełnego poświęcenia psychologa — mgr Anny Orłowskiej: pól-sanatorium. Jedyne w tej chwili w Polsce i ewentualnie w Europie! Istnieje od roku i obejmuje na razie 30 miejsc — trudności lokalowe nie pozwalają na zwiększenie ich liczby, choć pełne zapotrzebowanie wynosi około 100 miejsc. W tej eksperymentalnej placówce znalazł swój dom, atmosferę spokoju, fachową pomoc lekarską i psychologiczną nerwicowcy, rekonwalescenci po chorobach psychicznych i osoby z zaburzeniami charakteru. Tutaj nareszcie można stosować na szerszą skalę psychoterapię grupową, niezwykle cenną dla tego typu zaburzeń. Mają z czego być dumni lekarze i psycholodzy z Poradni. Byłam tam, widziałam przyjemne, przytulne pokoiki, rozmawiałam z mieszkańcami pół-sanatorium. Dobrze czują się w grupie, w tej mikrospołeczności, jaka zdażyła się tam ukształtować. Zniknęła z mora społecznego wyobcowania, poczucie zagrożenia. Wspólnie przeżywają swoje radości i troski, mają zaufanie do siebie i do opiekunów. Dziś właśnie jeden z owych trzydziestki zdał egzamin.

— Poczuliśmy się studentem — mówi z nutą wyraźnej ulgi w głosie. Mgr Orłowska jest naprawdę uradowana: ten chłopak przeżył już kryzys psychiczny, wpadł w nerwicę lekową, która powodowała, że mimo dobrego przygotowania do egzaminów, tchórzł w ostatniej chwili, oddawał wszystko walkowerem. A teraz — proszę, ma już całą sesję zaliczoną.

Pracownicy Poradni nie

szczędzą siły ani czasu: efektów jest o wiele, wiele za mało, trudności lokalowe kłopoty z władzami uczelni, które nie zawsze chcą lub też nie zawsze potrafią zrozumieć sprawy, których rzecznicami są lekarze i psycholodzy. A w tej dziedzinie spieszyć się nie można. Trzeba bardzo gruntownie poznać pacjenta, zbadać go, poddać obserwacji, zasięgnąć o nim wywiadu. W tym poznaniu zgłaszającego się studenta bardzo często pomocne okazują się testy. Stosowanie ich wymaga, oczywiście, olbrzymiej ostrożności i doświadczenia badającego — aby uniknąć myślnych, subiektywnych interpretacji. Zestawienie wyników kilkakrotnych badań lekarskich z analizą psychologiczną pozwala niejednokrotnie na wychwycenie tych elementów sytuacji konfliktowych, które wymykają się świadomości pacjenta lub uważane są przez niego za nieistotne i byłyby nie do ujawnienia w jednorazowym badaniu.

Choroby naszego wieku: nerwice i psychozy, nie omijają środowiska studenckiego. Rozsiew zachorowalności wśród młodzieży akademickiej na choroby nerwowe i psychiczne jest w zasadzie taki sam jak ich rozrzut w całej naszej populacji, ale specyfika studiów, napięcia przedegzaminacyjne, okresy krótkich sesji powodu-



ją szczególnie duże narażenie na stress. Niemożność, nieumiejętność przezwyciężania przez studentów trudnych sytuacji staje się powodem masowej eliminacji ze studiów. A to już duży miar problem ekonomiczny. Ważna jest także, a może najważniejsza ludzka strona zagadnienia. Zaburzenia nerwowe i psychiczne są swego rodzaju chorobami, które zakłócają na pewien czas zdolności przystosowawcze jednostki. Nie wolno pomawiać takiego osobnika o uchylanie się od rygoru studiów. Nie można karać go za chorobę. Niepokojące jest właśnie to, że zdarzają się u nas sytuacje, w których człowieka, jego osobowość szuka się w studencie jedynie w... Poradni Zdrowia Psychicznego.

EWA SIEMIŃSKA

Nożycami przez PRASĘ

UŻYTKI ROLNE

Jedna z uchwał IX Plenum KC PZPR głosi: „Niezbędne jest dalsze umocnienie ochrony użytków rolnych przed zajmowaniem ich na cele nierolnicze”.

Jak gdyby ilustrację do tej uchwały znajdujemy w artykule Lucjana Znicza w tygodniku „Fakty i myśli”. Okazuje się, że w ciągu ostatnich 20 lat straciłmy powierzchnię orną czterech przeciętnych powiatów. Bez namysłu u-

mieszcza się różne inwestycje przemysłowo-budowlane na gruntach ornych. W woj. bydgoskim hektary oddane na cele inwestycyjne w 60 proc. stanowią zysne grunty orne. Z wielu przykładów wymienię jeszcze jeden: kopalnia w Bełchatowie ma planowo zniszczyć 9 tys. ha. Tytuł artykułu: „Podcinanie łąk”.

U SASIADÓW

Czyniąc jeszcze jedno odstępstwo od praktyki, zwróciłem do moskiew-

siej „Literaturnoj gazety” z 27. IX. Na stronie trzynastej na wczesniejsze artykuły krytyczne tego tygodnika odpowiadają: wiceminister metalurgii kolorowej ZSRR; główny sekretarz Akademii Nauk Pedagogicznych ZSRR; wiceminister oświaty ZSRR. I nikomu korona z głowy nie spada, za to pożytek społeczny, wynikający z takiego stosunku do krytyki prasowej, jest zapewne duży.

NIE TYLKO...

Nie tylko do kłosek z piwem dolatują do nas podejrzane słowa. Czasem i od kłosek „Ruch”. Oto w „Karuzeli” z 6 października — pisma poważnego i wielce popularnego, chętnie czytane — również przez tytułowej znajdujemy intryny dialog Józefa

Prutkowskiego z Leonem Pasternakiem:

- Pobudka!
- Od... się.
- Chciałem parę słów na tematy wojskowe.
- Od... się!
- Czy pamiętasz swoją pierwszą piosenkę wojskową?
- Od... się!!!
- Rozkaz!

Dowcipne to? Nie. Uzasadnione potrzebą artystyczną? Nie. Więc?

FIGLE PAMIĘCI

Lubelska „Kamena” ogłasza odpowiedź pisarzy polskich na ankietę: „50 lat literatury radzieckiej”. Pisarze mówią o zjawiskach, które ich szczególnie zafrapowały

jako twórców lub jako czytelników. M. in. Aleksander Baumgardt wspomina swoje przedwojenne spotkania z tą literaturą. Piszę, że nie było trudno o kontakt z poezją, co do prozy zaś...

„Z radziecką natomiast prozą nie było łatwo spotkać w naszym kraju w okresie międzywojennym”.

Przekartkowuję egzemplarz „Rocznika literackiego”, odnajduję długi wykaz przekładów. Ograniczę się do przytoczenia kilku nazwisk pisarzy radzieckich, wydanych po polsku w 1934 roku: Erenburg, Gladkow, Gorki, Katajew, Lawreniow, Nowikow-Priboj, Panfelow, Pilniak, Szolochow, Tolstoj oczywiście Aleksy...

PIRAMIDY, CO WY NA TO?

Jak pisał Olgierd Terlecki w „Życiu Literac-

kim”, największym, jeśli idzie o rozmiary, dziełem sztuki w Krakowie jest pokryta płytami szklanymi wieżowca przy ul. 18 Sycznia.

Dzięki tej ścianie krakowski alpinista znalazł nowe zajęcie: ustalał jakie należy przedsięwziąć kroki celem zapobieżenia katastrofie: kompozycji grozi rozsypanie. W dwa lata po jej przekazaniu właścicielom wieżowca. Terlecki kończy następująco:

Bardzo się chwali alpinistom, że podjęli się trudnej pracy, do której, jak z wszystkich wyników, nie byłoby komu stać. Ale najbardziej chwaliłbym sobie jakąś zapewne jeszcze nie istniejącą komisję, która odnalazłaby wykonawców rozłożonej się kompozycji i zmusiłaby ich do zapłacenia co do grosza kosztów ich

monstrualnego parcia. I to byłby dopiero prece-dens, na który z utęsknieniem czekamy.

Bo inaczej wciąż ktoś będzie nam coś parolił, w małej i dużej skali, i zapakował to nasze ładne podobno miasteczko.

My w Łodzi również czekamy na podobny precedens. Aczkolwiek żadna podobna do wspomnianych kompozycji nie grozi nam rozsypanie — ludzie otrzymują nowe mieszkania w stanie wymagającym szybkiej pomocy fachowców, codziennie oglądają różne remonty i adaptacje...

Pytanie w tytulu jest oczywiście czysto retoryczne natury. Wcale nie chodzi o konkrowanie z piramidami. Ale choćby z przedwojennym budownictwem krajowym.

JAN OLECHNO

1817 - 15. X - 1967

Wcześniej, bo za życia został uznany jako bohater narodowy. Nie kwestionowała tego późniejsza opinia. Przeciwnie, różne grupy, koterie, partie anektowały Kościuszkę, przypisywały mu własne myśli, cele, dążenia. Nic więc dziwnego, że wokół postaci Naczelnika owijała się nie legenda, która dziś w znacznym stopniu utrudnia ukazanie takiego, jakim był on w rzeczywistości.

Że zdobył serca Polaków (i nie tylko Polaków) — to nie ulega wątpliwości. Że posiadał autorytet, którego mu zazdrościli królowie — nikt temu nie przeczy. Czym więc imponował współczesnym?

Przyjaciel Kościuszki gen. Franciszek Paszkowski pozostawił taki oto opis sylwetki Naczelnika: „Był raczej małego, ale silnego wzrostu, zreczny i do późnego wieku ruchawy. Na pierwsze wejście nie w nim nie uderzało... Wydał się dowcipnej pani Créquy na pierwszy rzut uprzedzonego jej oka rodzajem niedołągi... W ściślejszych dopiero z nim stosunkach można było poznać wielkość jego umysłu i serca”. Właśnie tymi zaletami zakrytymi dla oka obserwatora torował sobie drogę do największego zaszczytu, do „rządu dusz”.

Gdy historyk w oparciu o źródła rekonstruuje w szczegółach drogę życiową Kościuszki, uderza go zgodność słowa i czynu, przekonania i postępowania. Myśl Kościuszki wybiegała naprzód poza współczesne mu stosunki i dlatego w pełni zasłużył na miano wieszczki narodu. Właśnie Kościuszkę z dziwną przenikliwością przejrzał właściwe zamiary i dojrzał sedno polityki Napoleona względem Polaków.

* * *

Zwolniony osobiście z więzienia przez cara Pawła I (26. XI. 1796) udał się Kościuszkę do Stanów Zjednoczonych. Spotkał się tam z niezwykle gorącym przyjęciem. Znalazł uznanie, szacunek, dobrobyt. Lecz skoro nadeszły za ocean wieści o tworzeniu się polskich legionów we Francji, postanowił opuścić gościnną dlań ziemię amerykańską.

Przed wyjazdem wręczył Tomaszowi Jeffersonowi testament, w którym upoważnił go „ażeby moją własność w Stanach Zjednoczonych użył całkowicie na wykup Murzynów, czy spomiedzy swoich własnych, czy też innych i na obdarzenie ich wolnością w moim imieniu; na udzielanie im nauki rzemiosł lub innej, na wdrażanie ich w obowiązki moralności... w obowiązki obywatelskie, aby byli obrońcami swojej wolności...”

Francja Dyktatoratu witała Kościuszkę pompatycznie. Lecz dostrzegł on od razu, że hasła rewolucyjne — wolność, równość, braterstwo — poszły do lamusa, że bogacą się burżuazja myśli tylko o pomnażaniu majątku, a generałowie o zwycięstwach i karierze.

Nie chciał gasić zapału rodaków, którzy swoje nadzieje na odzyskanie niepodległości wiązali z walką Francji, z zaborcami Polski. Wrzeszało go przywiązanie i wierność dawnych podkomendnych. Chcieli oni bowiem pod jego przewodem poprzez ziemie cesarskie polaczyć się z narodem. Lecz Kościuszkę wątpliwość skuteczność tych wysił-

ków. Sam bezkompromisowy obawiał się kompromisów ze strony dyplomacji. A były one tym pewniejsze, że francuskie czynniki oficjalne nie chciały wydać żadnej deklaracji, żadnego oświadczenia w sprawie polskiej.

Posługiwanie się legionistami w wojnie neapolitańskiej wskazywało, że Dyktator traktuje Polaków jak żołnierzy najemnych. Droga do Polski nieprawdopodobnie wydłużała się.



Choć sam Kościuszkę nie wierzył w sku-

klarcę, że Polacy mogą się wybić na niepodległość? Czytelnik otrzymał odpowiedź twierdzącą na postawione w tytule pytanie, pod warunkiem trudnym do spełnienia dla szlachty. Polacy bowiem, zdaniem Kościuszki, powinni odrzucić nadzieję ratunku z zewnątrz, a jedynie siłę widzieć w wolnym narodzie

teczność wysiłków legionowych dla sprawy polskiej, nie chciał zniechęcać rodaków. W listach do Dąbrowskiego i Wybickiego życzył „utrzymania zapału dla odzyskania Ojczyzny”, życzył „zgody i jedności między oficerami i żołnierzami”. W piśmie do Wybickiego podkreślił konieczność wpajania w żołnierzy „nadziei widzenia Polski, jako kraju wolnego i prawdziwej Rzeczypospolitej” (republik). Charakterystyczne są wskazania Kościuszki odnośnie wychowywania żołnierzy-legionistów. W liście do Wybickiego takie daje mu rady: „potrzeba także katechizmu republikańskiego dla nich (żołnierzy — uw. m.), który by zastępował miejsce opinii zabobonu, którego już części znacznej zapewne pozbyć się musieli”.

Jednakże żadnym publicznym aktem nie przemówił Kościuszkę do rodaków we Francji. Nie objął także proponowanego mu dowództwa nad legionami. Zawód głęboko tał w sobie, ale wydaje się, że w przeciwieństwie do oficerów legionowych nie dziwiło go omijanie sprawy polskiej w traktatach zawieranych z Austrią. Nie wierzył bowiem, by adwokacko-kupiecki Dyktator chciał poruszyć sprawę Polski. Tak samo nie ufał i Pierwszemu Konsulowi. Widział w Napoleonie przede wszystkim kondotiera, który pracuje na własny rachunek i któremu obce są hasła rewolucji jakobin-skiej.

W 1800 roku dyktuje Kościuszkę Pawłowskiemu rodzaj katechizmu rewolucyjnego. Pismo to ukazało się drukiem pt.: „Jeżeli nie zechcesz postąpić wedle tego co mówię, zmusimy cię i ogłosimy proklamację w twoim imieniu”.

Rzekomą proklamację Kościuszki do Polaków ogłosił Fouché w kilku pismach francuskich. Przeciwno nadużywaniu swego imienia Kościuszko zaprotestował jak najbardziej stanowczo. Niestety, redakcją zabroniono zamieścić srosztowania, a Fouché zakwalifikował otrzymany protest Kościuszki... ad acta.

Powołane do życia przez Napoleona Księstwo Warszawskie trwało w nadziejach na odzyskanie niepodległości w granicach przedrozbiorowych. Nie zastanawiano się nad tym, w jakich proporcjach pozostają korzyści czerpane przez Napoleona z Księstwa do łask cesarskich względem Polski i Polaków.

Nie udało się Napoleonowi wciągnąć Kościuszki w orbitę swej polityki. Podobnym nienowodzeniem skończyły się i zabiegi Aleksandra I. Współudział w odbudowie Polski uzależniał bowiem Kościuszkę od wykonania przez cesarza „łask”.

„...abyś udzielił amnestii ogólną dla Polaków bez wszelkich zastrzeżeń, a włościanie (chłopi-żołnierze — uw. m.) rozproszeni w krajach obcych, aby uważani byli za wolnych obywateli, gdy wrócą pod strzechy swoje”.

„...abyś Wasza Cesarska Mość ogłosił się królem polskim z konstytucją wolną zbliżoną do angielskiej i abyś kazał utworzyć szkoły na koszt rządu do nauczania włościan; aby niewola ich była zniesiona w ciągu lat dziesięciu i aby używali oni mienia z prawem zupełnej własności”. (uwłaszczenie — uw. m.).

„Jeżeli prośby moje będą wysłuchane przyjdę osobiście lubo chory, paść do nóg Waszej Cesarskiej Mości dla podziękowania Mu”.

I tym razem warunki Naczelnika zostały odrzucone. Pozostał więc na obczyźnie prywatnym człowiekiem i dopiero śmierć 15 października 1817 roku przypomniała Polakom kogo oni stracili.

Naczelnik narodu „spoczął między króle” na Wawelu, a pogrzb jego w czerwcu 1818 roku stał się wielką trójbaborową manifestacją jedności narodu.

Wnet przystąpiono do wznoszenia Kościuszki pomnika na miarę jego zasług. W latach 1818-1825 wyrósł tuż poza granicami ówczesnego Krakowa olbrzymi kopiec — symbol nierozdzielnej więzi Naczelnika z narodem i narodu z tym, którego uczynił swym Naczelnikiem.

Wnet przystąpiono do wznoszenia Kościuszki pomnika na miarę jego zasług. W latach 1818-1825 wyrósł tuż poza granicami ówczesnego Krakowa olbrzymi kopiec — symbol nierozdzielnej więzi Naczelnika z narodem i narodu z tym, którego uczynił swym Naczelnikiem.

Wnet przystąpiono do wznoszenia Kościuszki pomnika na miarę jego zasług. W latach 1818-1825 wyrósł tuż poza granicami ówczesnego Krakowa olbrzymi kopiec — symbol nierozdzielnej więzi Naczelnika z narodem i narodu z tym, którego uczynił swym Naczelnikiem.

Wnet przystąpiono do wznoszenia Kościuszki pomnika na miarę jego zasług. W latach 1818-1825 wyrósł tuż poza granicami ówczesnego Krakowa olbrzymi kopiec — symbol nierozdzielnej więzi Naczelnika z narodem i narodu z tym, którego uczynił swym Naczelnikiem.

Wnet przystąpiono do wznoszenia Kościuszki pomnika na miarę jego zasług. W latach 1818-1825 wyrósł tuż poza granicami ówczesnego Krakowa olbrzymi kopiec — symbol nierozdzielnej więzi Naczelnika z narodem i narodu z tym, którego uczynił swym Naczelnikiem.

Wnet przystąpiono do wznoszenia Kościuszki pomnika na miarę jego zasług. W latach 1818-1825 wyrósł tuż poza granicami ówczesnego Krakowa olbrzymi kopiec — symbol nierozdzielnej więzi Naczelnika z narodem i narodu z tym, którego uczynił swym Naczelnikiem.

Wnet przystąpiono do wznoszenia Kościuszki pomnika na miarę jego zasług. W latach 1818-1825 wyrósł tuż poza granicami ówczesnego Krakowa olbrzymi kopiec — symbol nierozdzielnej więzi Naczelnika z narodem i narodu z tym, którego uczynił swym Naczelnikiem.

Wnet przystąpiono do wznoszenia Kościuszki pomnika na miarę jego zasług. W latach 1818-1825 wyrósł tuż poza granicami ówczesnego Krakowa olbrzymi kopiec — symbol nierozdzielnej więzi Naczelnika z narodem i narodu z tym, którego uczynił swym Naczelnikiem.

Wnet przystąpiono do wznoszenia Kościuszki pomnika na miarę jego zasług. W latach 1818-1825 wyrósł tuż poza granicami ówczesnego Krakowa olbrzymi kopiec — symbol nierozdzielnej więzi Naczelnika z narodem i narodu z tym, którego uczynił swym Naczelnikiem.

Wnet przystąpiono do wznoszenia Kościuszki pomnika na miarę jego zasług. W latach 1818-1825 wyrósł tuż poza granicami ówczesnego Krakowa olbrzymi kopiec — symbol nierozdzielnej więzi Naczelnika z narodem i narodu z tym, którego uczynił swym Naczelnikiem.

Wnet przystąpiono do wznoszenia Kościuszki pomnika na miarę jego zasług. W latach 1818-1825 wyrósł tuż poza granicami ówczesnego Krakowa olbrzymi kopiec — symbol nierozdzielnej więzi Naczelnika z narodem i narodu z tym, którego uczynił swym Naczelnikiem.

równoprawnych obywateli. A więc powstanie zbrojne równocześnie ze zniesieniem pańszczyzny i wszelkich powinności gruntowych. Powstanie przekreślające przywileje herbowe — oto droga, którą wskazywał Naczelnik insurekcji dla przyszłych pokoleń.

Po zwycięstwach nad zaborcami Polski pod Austerlitz i Jena, Napoleon dostrzegł korzyści jakie w warunkach toczącej się jeszcze walki może przynieść mu powstanie zbrojne na ziemiach polskich. Do poderwania Polaków potrzebna mu było imię Kościuszki. 3 listopada 1806 roku wysłał on do ministra policji, a dawnego jakobina — Fouché, polecenie by wyprawił Kościuszkę do Wielkopolski.

Fouché przekazał Kościuszkę życzenie cesarza, pewny, że zostanie ono przyjęte z aplauzem. Napotkał jednakże na stanowczy sprzeciw. Kościuszkę wspominał w rozmowie o daremnych ofiarach poniesionych przez Polaków we Włoszech, w Egipcie, na San Domingo, pod Marengo i Hohenlinden. Podkreślił, że po tylu zawodach ma prawo żądać dla Polski pewnych gwarancji i „niejakich zabezpieczeń”. Oburzony Fouché żądał „zawierzenia łasce cesarskiej” i podpisania gotowej już odezwy do Polaków. Groził przy tym:

„Jeżeli nie zechcesz postąpić wedle tego co mówię, zmusimy cię i ogłosimy proklamację w twoim imieniu”.

Rzekomą proklamację Kościuszki do Polaków ogłosił Fouché w kilku pismach francuskich. Przeciwno nadużywaniu swego imienia Kościuszkę zaprotestował jak najbardziej stanowczo. Niestety, redakcją zabroniono zamieścić srosztowania, a Fouché zakwalifikował otrzymany protest Kościuszki... ad acta.

Powołane do życia przez Napoleona Księstwo Warszawskie trwało w nadziejach na odzyskanie niepodległości w granicach przedrozbiorowych. Nie zastanawiano się nad tym, w jakich proporcjach pozostają korzyści czerpane przez Napoleona z Księstwa do łask cesarskich względem Polski i Polaków.

Nie udało się Napoleonowi wciągnąć Kościuszki w orbitę swej polityki. Podobnym nienowodzeniem skończyły się i zabiegi Aleksandra I. Współudział w odbudowie Polski uzależniał bowiem Kościuszkę od wykonania przez cesarza „łask”.

„...abyś udzielił amnestii ogólną dla Polaków bez wszelkich zastrzeżeń, a włościanie (chłopi-żołnierze — uw. m.) rozproszeni w krajach obcych, aby uważani byli za wolnych obywateli, gdy wrócą pod strzechy swoje”.

„...abyś Wasza Cesarska Mość ogłosił się królem polskim z konstytucją wolną zbliżoną do angielskiej i abyś kazał utworzyć szkoły na koszt rządu do nauczania włościan; aby niewola ich była zniesiona w ciągu lat dziesięciu i aby używali oni mienia z prawem zupełnej własności”. (uwłaszczenie — uw. m.).

„Jeżeli prośby moje będą wysłuchane przyjdę osobiście lubo chory, paść do nóg Waszej Cesarskiej Mości dla podziękowania Mu”.

I tym razem warunki Naczelnika zostały odrzucone. Pozostał więc na obczyźnie prywatnym człowiekiem i dopiero śmierć 15 października 1817 roku przypomniała Polakom kogo oni stracili.

Naczelnik narodu „spoczął między króle” na Wawelu, a pogrzb jego w czerwcu 1818 roku stał się wielką trójbaborową manifestacją jedności narodu.

Wnet przystąpiono do wznoszenia Kościuszki pomnika na miarę jego zasług. W latach 1818-1825 wyrósł tuż poza granicami ówczesnego Krakowa olbrzymi kopiec — symbol nierozdzielnej więzi Naczelnika z narodem i narodu z tym, którego uczynił swym Naczelnikiem.

Wnet przystąpiono do wznoszenia Kościuszki pomnika na miarę jego zasług. W latach 1818-1825 wyrósł tuż poza granicami ówczesnego Krakowa olbrzymi kopiec — symbol nierozdzielnej więzi Naczelnika z narodem i narodu z tym, którego uczynił swym Naczelnikiem.

Wnet przystąpiono do wznoszenia Kościuszki pomnika na miarę jego zasług. W latach 1818-1825 wyrósł tuż poza granicami ówczesnego Krakowa olbrzymi kopiec — symbol nierozdzielnej więzi Naczelnika z narodem i narodu z tym, którego uczynił swym Naczelnikiem.

Wnet przystąpiono do wznoszenia Kościuszki pomnika na miarę jego zasług. W latach 1818-1825 wyrósł tuż poza granicami ówczesnego Krakowa olbrzymi kopiec — symbol nierozdzielnej więzi Naczelnika z narodem i narodu z tym, którego uczynił swym Naczelnikiem.

Wnet przystąpiono do wznoszenia Kościuszki pomnika na miarę jego zasług. W latach 1818-1825 wyrósł tuż poza granicami ówczesnego Krakowa olbrzymi kopiec — symbol nierozdzielnej więzi Naczelnika z narodem i narodu z tym, którego uczynił swym Naczelnikiem.

Wnet przystąpiono do wznoszenia Kościuszki pomnika na miarę jego zasług. W latach 1818-1825 wyrósł tuż poza granicami ówczesnego Krakowa olbrzymi kopiec — symbol nierozdzielnej więzi Naczelnika z narodem i narodu z tym, którego uczynił swym Naczelnikiem.

Wnet przystąpiono do wznoszenia Kościuszki pomnika na miarę jego zasług. W latach 1818-1825 wyrósł tuż poza granicami ówczesnego Krakowa olbrzymi kopiec — symbol nierozdzielnej więzi Naczelnika z narodem i narodu z tym, którego uczynił swym Naczelnikiem.

Wnet przystąpiono do wznoszenia Kościuszki pomnika na miarę jego zasług. W latach 1818-1825 wyrósł tuż poza granicami ówczesnego Krakowa olbrzymi kopiec — symbol nierozdzielnej więzi Naczelnika z narodem i narodu z tym, którego uczynił swym Naczelnikiem.

Parlez - vous
français ?

Dalszy ciąg ze str. 1

we Francji ośrodek nauki francuskiego dla cudzoziemców.

Miasto ma stare w tej dziedzinie tradycje. Już przed wojną przyjeżdżali do tutejszego instytutu polscy studenci i pedagodzy. W pierwszym okresie po wojnie nie przyjeżdżał nikt. Od kilku lat do Tours zaglądają polscy dziennikarze i dość nieliczni lektorzy. Francuzi są z tego bardzo zadowoleni. Ale jeszcze bardziej poculi się podniesieniem na duchu, gdy do Tours zjawiła grupa studentów radzieckich. W Polsce mało kto zdaje sobie sprawę jakim zainteresowaniem na Zachodzie cieszy się „Rosja”. Paryskie księgarnie, podobnie jak te w Londynie, zawalone są publikacjami o Związku Radziec-

kim. W modzie jest rosyjska muzyka, rosyjska literatura, przede wszystkim rosyjski język. Wszystko co rosyjskie jest tam w wielkim poważaniu. To nie laurka z okazji Października. To goły fakt, który rzuca się w oczy każdemu. Dodam tylko, że jedna z największych stacji paryskiego metra nazywa się Stalingrad, a rosyjskich restauracji z rosyjskimi potrawami jest więcej w Paryżu niż polskich (?) w mieście Łodzi. Toteż profesorowie z Tours bardzo się zmartwili, kiedy po kilku dniach radzieccy studenci przenieśli się do Paryża.

— Dlaczego oni to zrobili? Przecież nigdzie we Francji nie ma tak dobrych warunków do nauki jak w Tours.

To prawda, ale czy jest gdzieś Słowianin, którego by nie ciągnęło nad Sekwanę?

Instytut w Tours jest rzeczywiście doskonale wyposażony. Dysponuje też kadra wytrawnych wykładowców. Jest zresztą rodzajem filii pobliskiego uniwersytetu w Poitiers, należącego do najstarszych we Francji. Słuchacze — a było ich na wrześniowym turnusie kilkuset — mieszkali w pysznych, supernowoczesnych internatach. Każdy student miał własny pokój, umeblowany skromnie, ale we wszystko, co jest potrzebne do spokojnej nauki. Wszyscy mogli też korzystać z dość taniej stołówki. Same wykłady trwały 4 godziny dziennie. Zawsze przed południem. Po obiedzie zajęcia praktyczne, głównie konwersacje. Sobota wolna. Podczas weekendu — zbiorowe wycieczki do królewskich zamków nad Loarą, także do Mont Saint-Michel. Wielu uważa, że we

Francji trzeba koniecznie obejrzeć dwie rzeczy — Luwr i Mont Saint-Michel. Osobiście zgadzam się z tą opinią, Mont Saint-Michel jest czymś tak niezwykłym i niezapomnianym, tak cudownie pięknym i niepowtarzalnym, że wolno o tej bajecznej górze mówić albo dużo albo nie. Siła wyższa zmusza mnie do wybrania tej drugiej alternatywy.

Ma być przecież o Instytucie w Tours. Skąd przybywają studenci do miasta nad Loarą znanego już za czasów rzymskich pod nazwą Caesarodunum?

Zewsząd, ze wszystkich krańców świata. Ze Stanów Zjednoczonych, Indii, Niemiec zachodnich, Włoch, Hiszpanii, Meksyku, Anglii, Japonii, Nigerii... i jeszcze z kilkudziesięciu innych krajów. Głównie jednak z Ameryki. Nie można się oprzeć wrażeniu, że cała dolina Loary nastawiona jest na zwabienie możliwie największej liczby amerykańskich turystów. Średniowieczne zamki, które od wieków przegladają się w falach Loary, służą też temu celowi. Wieczorem stają się rodzajem publicznego cyrku. Na mury zamków padają ognie reflektorów, wydobywające z mroku nie tylko misternie rzeźbione baszty, ale też przystrojone markizy, które śpiewają ochoczo i wesolo na nieśmiertelną nutę — Sur le pont d'Avignon, l'on y danse tout en rond... — Amerykanie za takim cyrkiem przepadają. Placą suto i wołają o więcej. A Francuzi, którzy nie lubią Jankesów, choć miłośnią wielką kochającą dolinę, wiedzą o tym wyborze. Rozwinęli i udoskonalili cały system napływów i „łap”, żądają swego na każdym kroku, a kelnerka, która nie

otrzyma „pourboiru” w spodziewanej wysokości wprost plonie z oburzenia i gotowa natychmiast zwalić facetowi polcie na kark. Francji nie wolno obrazać, monsieur...

Zamężny bostonczyk powiada do syna: — O.K., możesz jechać do tej choleralnej Francji, ale „condition”. Przywieziesz świadectwo ukończenia kursu z Tours. Musisz nabrać tam tego ich europejskiego polotu...

Przez chwilę Johnny się waha, wreszcie na jego twarz wpływa szeroki uśmiech:

— O.K., daddy...

„American boys”, byli prostoduszni, naturalni, zabawni. Śmiali się, kiedy mieli na to ochotę, krzywili się, gdy im się coś nie podobowało. Byli bezpośredni, towarzyscy, bez owej, jakże dla starej i zblazowanej Europy charakterystycznej maski na twarzy. Tryskało z nich radość życia, w ogóle byli mili i sympatyczni. Urodzili się Amerykanami. Czy wolno ich za to winić? O wojnie w Wietnamie mówili ze złością i sami prosili, by zmienić temat. Czuli się tym wszystkim wyraźnie zażenowani. Comment allez-vous? Nieźle, zupełnie nieźle, tylko po cóż mi ten francuski? Ojciec przysłał i zapłacił, bardzo mu się to chwali, ale niech pan powie, w dzisiejszych czasach uczyć się francuskiego? Czy to nie śmieszne? Sympatyczny dryblas cierwał na kelnera po jeszcze jeden kielich czerwonego, taniego jak barszcz wina i zawiesił wzrok na wieżach kościoła Saint Julien, którego fundamenty sięga czasów gallo-romanskich. Piękna jest ta Francja, tylko, że tu dość ubogo, nie sądzi pan?

Tym razem ja zmienię temat.



Poznań

TERESA WOJCIECHOWSKA

Łózko za sto tysięcy zł

Hotelarstwo nie jest najmniejszą stroną naszego kraju. W roku 1965 ogólnopolski wskaźnik wynosił 2 łóżka hotelowe na 1000 mieszkańców miast i osiedli. Z tego na przykład w Warszawie — 3,4, w Krakowie — 3, w Poznaniu — 2,8, we Wrocławiu — 2,2, w Łodzi — 1,1. Może ktoś powiedzieć, i słusznie, że dane te nie odzwierciedlają właściwych potrzeb poszczególnych miast, bowiem stali mieszkańcy nie korzystają z hoteli, że wskaźnikiem powinien być ruch turystyczny, napływ przybyszów, którzy się w hotelach zatrzymują.

Ale na pewno liczba miejsc hotelowych jest wskaźnikiem energii, prężności i inicjatywy władz miejskich. Przy planowaniu inwestycji hotelowych koszt jednego łóżka oblicza się na około 100 tys. złotych. Są to więc inwestycje drogie i przez Komisję Planowania raczej ograniczane. Dlatego, jak twierdzą dwaj główni specjaliści: Ministerstwo Gospodarki Komunalnej i Orbis — energia i inicjatywa władz miejskich

mają znaczenie często decydujące.

Przeglądając listę nowych hoteli w Polsce, już powstających, bądź znajdujących się w budowie, stwierdzić można, że inicjatywy takiej nie brakuje władzom wielu miast, miast nie zawsze największych. Oczywiście, nie będzie tu mowy o Warszawie, która jako stolica ma ze zrozumiałych względów potrzeby największe. Nasza lista obejmuje miasta mniejsze od Warszawy i od Łodzi, czasem miasta zupełnie małe. Obejmuje okres, jak na budownictwo niedługi, bo od 1961 roku.

Reprezentacyjny orbisowski hotel „Merkury” powstał w POZNANIU. Jeden z największych w Polsce, ma 643 miejsca hotelowe i 570 gastronomicznych (restauracja, kawiarnia), kubaturę ponad 74.000 metrów sześciennych. Koszt budowy wyniósł 124 miliony zł.

KRAKÓW otrzymał również orbisowski hotel „Oranienburg”, jeszcze większy, bo

na 700 miejsc hotelowych i 630 gastronomicznych. Kubatura gmachu: 77.200 metrów sześciennych, koszt inwestycji — 140 milionów złotych.

W PŁOCKU Orbis wybudował „Petroł”, niewielki, lecz nowoczesny budynek na 170 miejsc hotelowych i 200 gastronomicznych, o kubaturze 17.900 metrów sześciennych. Koszt budowy — 28 milionów zł.

„Beskid” to hotel orbisowski w NOWYM SĄCZU. Ma 195 miejsc hotelowych i 220 gastronomicznych, ogólna kubatura 23.400 metrów sześciennych, koszt inwestycji — 35 milionów złotych.

KOŁOBRZEŻ zakończył w lipcu tego roku budowę hotelu wcale nie małego „Skanpol” ma 264 łóżka stałe i 150 dostawnych. Nowe hotele miejskie powstały również w innych miastach.

KATOWICE wzniosły najokazalszy i najdroższy z hoteli w kraju — „Katowice” — na 426 miejsc hotelowych.

W KIELCACH stanął hotel „Centralny” — na 400 łóżek.

W TURKU wybudowano kosztem 8.600 tys. zł hotel „Miejski”.

ZGORZELEC wybudował hotel „Miejski” o 105 miejscach kosztem 10.689 tys. zł. LUBIŃSKI otrzymał hotel o 156 miejscach.

BOLESŁAWIEC SŁASKI otrzymał kosztem 9.793 tysięcy zł hotel na 100 miejsc.

KUDOWA wybudowała sump-tem 13.300 tysięcy zł „Kosmos” na 110 miejsc.

POLANICA oddała w tym roku hotel na 80 miejsc.

Warto przy okazji chyba przypomnieć, że są to budynki nowoczesne, architektonicznie wkomponowane w lokalny koloryt krajobrazowy, wnoszące nie tylko wartości użytkowe, ale wzbogacające też architekturę miasta.

* * *

Obraz rozwoju hotelarstwa byłby niepełny bez pokazania tego, co w chwili obecnej znajduje się w trakcie budowy, bądź co w fazie budowy wejdzie w najbliższym czasie. To bowiem co się już buduje i czego budowę zaplanowano w ciągu najbliższych dwóch lat, przekracza znacznie osiągnięcia ostatnich lat.

Niezależnie od hotelu miejskiego na 426 łóżek, o którym pisaliśmy wyżej, Katowice budują już następny. Inwestorem jest Orbis. Kubatura gmachu wynosi 48.800 metrów sześciennych, koszt budowy — 83.300 tysięcy zł. Hotel będzie dysponował 444 miejscami, oddanie nastąpi w 1970 roku.

Lublin wznosi w tej chwili dwa budynki hotelowe: miejski na 300 miejsc oraz orbisowski kategorii luksusowej na 220 miejsc. Koszt hotelu orbisowskiego wynie-

sie około 35 milionów złotych. Gmach będzie oddany w 1969 roku.

Wrocław ma również szerokie plany. Obecnie wznoszony jest tam hotel Orbis kategorii luksusowej, na 220 miejsc, kosztem 34 milionów złotych. Będzie on oddany w 1969 roku. Jeszcze w tej 5-letce Orbis rozpocznie budowę drugiego hotelu II kategorii, na 400 miejsc.

Bydgoszcz, która przed kilku laty otrzymała hotel orbisowski na 118 miejsc, buduje obecnie hotel miejski na 336 miejsc, a w ciągu najbliższych dwu lat Orbis rozpocznie tu budowę hotelu kategorii luks na 220 łóżek.

Toruń, Orbis buduje tu hotel II kategorii (turystyczny) o 210 łóżkach, w tej 5-letce rozpocznie wznoszenie hotelu kategorii luks na 220 miejsc.

W Rzeszowie — w budowie znajduje się luksusowy hotel miejski na 440 miejsc.

Hotele kategorii II (turystyczne) buduje obecnie Orbis ponadto w Sanoku, Zielonej Górze, Ustrzykach i Szczecinie. Hotel szczeciński będzie dysponował 252 miejscami, koszt budowy wyniesie 18,5 miliona złotych. Niezależnie od tego Orbis rozpocznie w Szczecinie budowę

hotelu kategorii luks na 440 miejsc.

W budowie już się znajdują, bądź w najbliższym czasie zostanie rozpoczęta realizacja inwestycji miejskich w:

Gdyni — 130 miejsc hotelowych
Zawierciu — 50 miejsc
Puławach — 190 miejsc
Zamościu — 100 miejsc
Opolu — 70 miejsc
Wałbrzychu — 306 miejsc
Kluczborku — 160 miejsc
Głogowie — 100 miejsc
Koninie — 120 miejsc
Świebodzinie — 100 miejsc.

W planach Orbisu i w planach Ministerstwa Gospodarki Komunalnej szukaliśmy długo i bezskutecznie danych o budowie nowych hoteli w Łodzi. Nie ma ich, mimo że Łódź stoi na jednym z ostatnich miejsc w kraju pod względem liczby łóżek hotelowych.

Jedynie Orbis poinformował mnie, że w trakcie dyskusji znajduje się budowa w Łodzi, w latach 70-tych hotelu turystycznego, niestety, II kategorii.

* * *

Według przewidywań statystyki w 1970 roku we Wrocławiu liczba łóżek hotelowych podniesie się z 2,2 do 2,8 na 1000 mieszkańców. W Łodzi spadnie z 1,1 do 1,07.



Kołobrzeg



Płock



Katowice



Bydgoszcz

Nie tracą natomiast czasu Niemcy z „Bonnlandu”.

Boże, jak oni harują! Z jaką pasją, im tylko właściwą systematycznością przygotowują się do egzaminu. Studentów z Bonn i Heidelbergu widziałem przy robocie. Siedzieli przy stole obłożeni górą słowników i podręcznych leksikonów. Nie zmarowali w Tours ani jednej godziny. Oni nawet nie chodzili na telewizję. Uczyli się francuskiego. Jak się uczę! Byli pochłonięci niepokromioną żądzą zgłębienia wszystkich tajemnic francuskiej mowy. Zapłacili za kurs pełnych 140 franków. Wydatek musi się im zwrócić. Przywiozą dyplom, który im potem otworzy niejedne drzwi we Wspólnym Rynku. Proszę pana, tylko patrzeć, a znów nam zaświta era „Karl des Grossen”, przepaszam, jesteśmy we Francji, era Charlemagne’a. Czy pan wie, że Charlemagne rozmawiał na swym dworze tylko po niemiecku? Czy pan wie, że jego syn Louis, który stał się królem niemieckim mówił tylko po francusku, a drugi syn Charles, który na mocy traktatu w Verdun otrzymał koronę francuską, rozmawiał tylko po niemiecku? Wiele dlaczego współcześni Niemcy mają się uczyć francuskiego, a Francuzi niemieckiego? Oba te narody wyrosły ze wspólnego pnia. A co do Polski, mein Gott, wy tam chyba pamiętacie jak Niemcy przyjmowali polskich powstańców z 1831 roku?

— Tak jest — przytaknałem. — Pamiętam, ale pamiętam też wiele innych rzeczy. Student z Heidelbergu urwał, przyjrzał mi się uważnie i zmienił temat...

W Tours, jak zresztą wszędzie, rzucali się w oczy Brytyjczycy. Anglika wylawia się

z tłumy z dużą łatwością z odległości kilkudziesięciu metrów. Inaczej chodzi. Inaczej się trzyma. Jest zawsze prosty jak trzcina. Nosi głowę wysoko. Nigdy nie patrzy na boki. Patrzy prosto przed siebie. Wygląd przechodniów nie interesuje go. Kroczy pewnym siebie krokiem dżentelmena, który jest absolutnie przekonany, że wszystko co robi jest słuszne i bez zarzutu. Swoisty jest też sposób w jaki Angielcy dyskutują. Po wykładzie profesora Chevalier o Wspólnym Rynku, wywiał się zapalczywa chwilami wymiana zdań. Obecny na sali jeden tylko student z Londynu, zdany na własne siły, musiał stawić czoła gwałtownym wystąpieniom Niemców, Włochów, a nawet nie wiadomo dlaczego, Hiszpanów. Usiadł na boczny krzesło, założył nogę na nogę i z sarkastycznym uśmiechem odpierał ataki z atakiem z typową angielską ironią. Nie pozbawiona wyraźnej drwiny. Myślę, że nikt nie potrafi dyskutować z takim mistrzostwem jak Angielcy. Oni mają parlamentaryzm we krwi. Zresztą w londyńskich środowiskach studenckich ostre dyskusje należą do chleba powszedniego.

Nie wiem natomiast skąd się wzięło u nas przekonanie, że Angielki mają końskie twarze, wystające zęby i stopy podolskiego złodzieja. Kiedy opowiadałem niedawno, że większość tancerek z Folies Bergeres w Paryżu, to właśnie piękne jak anioły Angielki, nie chciało mi wierzyć. — Niemożliwe — oświadczone. Możliwe, możliwe, jeszcze jak możliwe. Francuzki ani się umywały do Angielek. Paryżanki nie umywały się też do warszawianek, ale to już inna zupełnie kwestia. Czy ja wiem. Nie jestem specjalistą w tej materii i cały czas bardzo żałowałem, że nie było w Tours jednego z moich

redakcyjnych kolegów, który się czymś wyróżnia. Trudno mi więc wyrokować, czy Francuzki są brudne, jak twierdzą Szwedzi i czy Szwedzi są zboczzone, jak utrzymują Francuzi. Być może...

Sam kurs był mieszkanką nudnych jak flaki z olejem lekcji z zakresu gramatyki z bardzo ciekawymi wykładami o francuskiej kulturze. Poczucie miejsce w wykładach o literaturze zajął nasz rodak z pochodzenia. Apollinaire-Kostrowicki. Profesor Waldner całe piękno francuszczyzny odsłaniał nam na tekstach Apollinaire’a. Wspominał przy sposobności, że Apollinaire zgłosił się na ochotnika do francuskiej armii, by udowodnić, że nie jest cudzoziemcem, lecz patriotycznie myślącym Francuzem. W walce z żołdakami Wilhelma II dokazywał cudów męstwa i odwagi. Umarł wskutek ran odniesionych na froncie... Apollinaire nie używał interpunkcji. Dowodził, że człowiek kulturalny sam wie gdzie przystanąć.

Turnus się skończył i jak każdy tego rodzaju kurs, dał słuchaczom przede wszystkim możliwość osłuchania się z żywym językiem.

Inny jest przecież język podręczników, innym posługuje się człowiek z ulicy.

Codzienna francuszczyzna jest płynną, wartką, rwącą jak Loara rzeka, w której zlewają się wszystkie dźwięki, z której ktoś, kto nie ma pewnej praktyki, wylupuje tylko pojedyncze słowa. Nie ludźmy się. Najlepszą, choć na pewno nie najtańszą metodą nauki języka obcego jest „Kinderstube”. Pierwszych 5 lat życia decyduje o wszystkim. To żadne objawienie ani rewelacja. Kiedyś na polskie dwory sprowadzano suto opłacane guwernantki z Paryża. Dziś do bo-

gaty domów w tymże Paryżu sprowadza się angielskie studentki, które pragną sobie dorobić. Siac trzeba we wczesnej młodości, żeby zebrać plon obfity. Cudów nie ma. Spóźnisz się z siwem to i zbory niedzne.

Nauka przez sen zbawi nas wszystkich. Większego nonsensu dawno już nie słyszałem.

Doprawdy na sama myśl o tym, można się nabawić bezsenności. Nawet płyta, żeby ją nagrać, musi się obracać. Cóż dopiero mózg. W łóżku można, oczywiście, robić rzeczy rozmaite. Nikt mi jednak nie mówił, że w łóżku podczas snu, którokolwiek opamięta francuskie „subjonctif”. Podczas jednej z dyskusji w Instytucie D’Etudes Françaises w Tours wystąpił pewien mężczyzna, którego pocztakowo brałem za Belga. Przez 15 minut, bez żadnej przerwy, opowiadał o Warszawie. Sala słuchała z zapartym tchem. To był gładki, potoczny wykład o dziwnym kraju, który dla większości studentów wciąż jeszcze kojarzy się z półdzikimi ludźmi w kożuchach, z kurnymi chatami i białymi niedźwiedziami. To była śliczna, potoczna, dźwięczna francuszczyzna, podana bezbłędnie, autentycznym, francuskim akcentem. Takiego akcentu nikt w dojrzałym wieku nigdy nie zdobędzie.

Po kilku dniach zapytałem.

— Gdzie u licha nabrał pan tego akcentu, przecież diabeł człowieka biera, kiedy się słucha...

Lektor, to był jeden z warszawskich lektorów, roześmiał się.

— No cóż, urodziłem się w Paryżu i pierwsze 5 lat spędziłem w cieniu Tour Eiffel.

Merci bien, rozumiemy teraz wszystko.

JAN BABIŃSKI

DWA OPOWIADANIA

Zegarek

Przez dłuższy czas nie mogłem rozpoznać się w tym dźwięku. Dochodził spod koca przytulony brzęczeniem jakiegoś uwięzionego owada, ale przebiegał się uparcie przez to brzęczenie, zwyciężał je swoją miarową jednostajnością. Wreszcie zrozumiałem, że to tykanie zegarka. Zdjąłem go przed kąpielą w jeziorze, a potem musiał dostać się pod koc.

A więc odezwał się, i to właśnie w tej chwili. Milczał, gdy wyjeżdżałem na te parodniowe wakacje, może zresztą nie tyle milczał, co nie dawał się słyszeć. Byłem wtedy za bardzo zajęty pośpiesznym pakowaniem walizki i przygotowaniem do wyjazdu. Milczał podstępnie, to jego właśnie oskarżałem przez te parę dni, gdy nie mogłem dogadać się z latem, bo wszystko zaczęło się tak niedobrze, znów straciłem poczucie czasu, to nerwowe pakowanie, a potem żadnej taksówki, minuty biegnięcia, a tu żadnej taksówki, wreszcie jest, w ostatniej chwili wpadłem z walizką na dworzec.

Leśniczy wyjechał po mnie samochodem, więc potem oskarżałem ten samochód, bo może stałoby się inaczej, gdyby wyjechał po mnie wozem. Ale wyjechał samochodem, gdy zapomniałem o podstępie zegarka, całą winę zważyłem na samochodzie leśniczego.

Bo przecież wszystko zapowiadało się jak najlepiej, od wielu lat chodziła mi po głowie leśniczówka, i to leśniczówka w czerwcu, z początkiem lata. Właśnie wtedy, gdy ono nadejdzie, wtedy odnajdę je w sobie, przecież nie będzie mi wypadło przepaść gdzieś zaraz po przyjeździe.

Za oknem rzeka wylwająca do jeziora, pod oknem łaka schodząca do rzeczki, łaka jak z taniego landszaftu, bo złota od jaskrów i niebieska od niezapominajek. Wciąż

miałem łąkę za złe te kolory, i leśniczówkę, że jest wielka i wzniesiona nie z drewna, a z cegły, i do tego z cegły czerwonej jak policzki cłowna. I przez następny dzień obwiniałem także i leśniczówkę.

Ale to wszystko było zwyczajnym mydleniem oczu. Zrozumiałem to na dalekiej wycieczce, gdy leśna droga zawiodła na skraj jeziora, i ponad tym jeziorem spojrziałem na leśniczówkę. Zmalała stamtąd, spotulniała, jej czerwień nabrała z oddalenia cech łagodności i chyba dzięki temu wtopiła się idealnie w krajobraz. Wciąż i kolejny argument stracił rację bytu.

Wtedy zacząłem obwiniać miasto, które przemyciło się we mnie i panoszyło się po łąkach, lasach i wodach. To jego oddech zatruwał wody, że nie dawały orzeźwiającego chłodu, jego tępno wstępowało w lasy, że szum ich stawał się niespokojnym dudnieniem, jego reka sięgnęła wzgórz nad jeziorem, że bujna zieleń zmieniła się na nim w rdzawe chwasty, podobne do chwastów na miejskich ugorach.

A ostatniego dnia lato nagle odżyło. Najpierw laskółka smignęła czarnym zygazkiem nad wodą, a zaraz potem, jakby jego odbicie, błysnął w górę zygazak złocisty, równie jak tamten ostry i przeszywający. Było to tak, jakby ktoś rozpruł nagle zasłone, i wtedy za strugami ulewnej deszczu ukazało się najczystsze, najprawdziwsze lato, i powstało ze wzgórz.

To było rankiem, teraz leżałem na parującej łące nad jeziorem, w którym wykapałem się jak w żywej wodzie. Pod kocem słyszałem miarowe tykanie zegarka, tykanie coraz donośniejsze, skandujące nieubłagana prawdą, że pierwszy dzień lata jest dla mnie jego dniem ostatnim.

List

Drogi Rajmundzie! A więc zdecydowałeś się odpisać na mój list po piętnastu latach. Piszesz, żeby „nie brać owej częstotliwości za kryterium czegośkolwiek, gdyż wszelkie wnioski wypadłyby zbyt niedorzecznie”. Rozumiem to, rozumiem także Twoje wyjaśnienie, że „strasznie nie lubisz wszelkiej pisaniny, bo w liście można zmieścić tak mało, że aż się nie chce go zaczynać”. Wiem coś o tym, dotyczy to zresztą nie tylko listów. Pisze jednak, bo znów mnie sprowokowałaś. Poruszyły mnie Twoje słowa, że zapadłeś w Tej swojej miejscinie „z okropnie poematowanymi żywiołami sprawami”. I o tym coś wiem, dotyczy to nie tylko Ciebie. Miejscina czy miasto nie mają tu większego znaczenia.

Nie chce się bawić w mentora, nie byłem nim wtedy, przed piętnastu laty, cóż dopiero teraz. Rośnie w nas z wiekiem sceptycyzm, Rajmundzie. Dlatego mogę Ci wreszcie wyznać, jak to było naprawdę z tą naszą wizytą na cmentarzu.

Pamiętasz chyba nasze wspólne wakacje? Któregoś dnia nad wieczorem chodziliśmy znów bez celu po lesie i wyszliśmy na drogę, która rozwidlała się w dwóch kierunkach: jedna jej odnoga biegła na wzgórze i tam się zakonywała, druga, ta krótsza, skręcała na cmentarz. Wybraliśmy tę drugą, mineliśmy pordzewiałe cmentarne wrota i weszliśmy w boczną aleję. Pamiętasz, słonce zachodziło i świeższe zaczęły swój jaskotliwy koncert, a nam zdawało się, że to tak dźwięcza zeschnięte wieńce na żelaznych krzyżach. Wtedy przyparłeś mnie do cmentarnego muru i domagałeś się natychmiast

odpowiedzi. Czy to jest początek czy koniec? I czy widzę jakiś sens w tym wszystkim? Wiedziałem, że jak piskorz, nie mogłem przecieżyć zdradzić się przed Tobą, że trawia mnie podobne wątpliwości. Starałem się wmówić w Ciebie prawdę, w którą sam nie bardzo wierzyłem. Byłem, Rajmundzie, tym chrymym, który podtrzymuje ślepego. Ale chyba byliśmy sobie wzajemnie potrzebni.

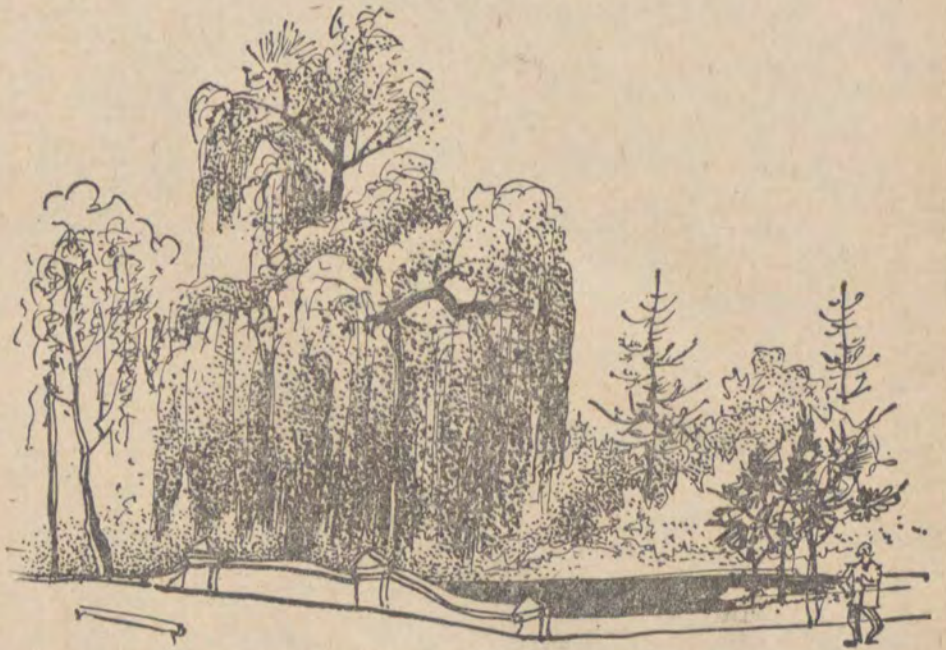
To że, że nie pisałeś tak długo. Wiem, wiem, już wtedy mówiłeś, że nie mamy prawa wymagać, by inni zajmowali się nami. Zwłaszcza, gdy my się nimi nie zajmujemy. Ale wydaje mi się, że wszystko to nie zwalnia nas od jednego podstawowego obowiązku: zajmowania się samym sobą. I dlatego buntuję się coś we mnie, gdy piszesz, że „i tak ten zwiariowany świat wyróżnia kiedys w drugi, podobny i zostanie z wszystkiego kupa jakiegoś gazu — elementu, który zaczyna być może całą zabawę od nowa”.

Może to odbyć się tak, a może inaczej. Jak to się jednak stało, że przez tyle lat nie zmieniłeś się ani trochę. Czyżbyś nie zajmował się sobą? Czyżbyś nie doszedł do tej gorzkiej świadomości, że wiedzieć to znaczy postępować tak, jakby się nie wiedziało?

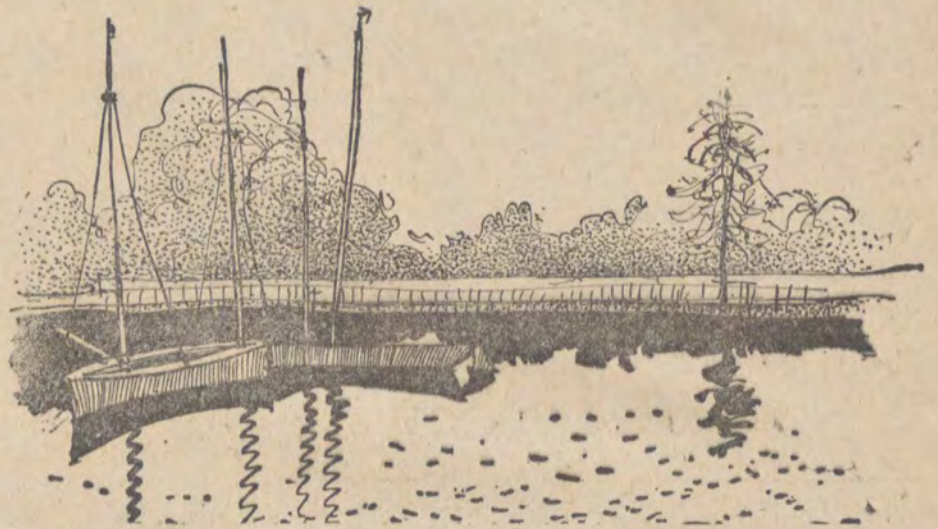
Nie mogę w to uwierzyć, że drogi nasze rozeszły się tak jak tamta droga, i że ty ciągle tkwisz na tej krótszej odnodze. Dlatego choć piszesz, że nie obrażasz się, jeśli teraz ja odezwę się po piętnastu latach — odzywam się szybciej. Bo może znów jesteśmy sobie wzajemnie potrzebni?

Sciskam Cię —
Twój T.

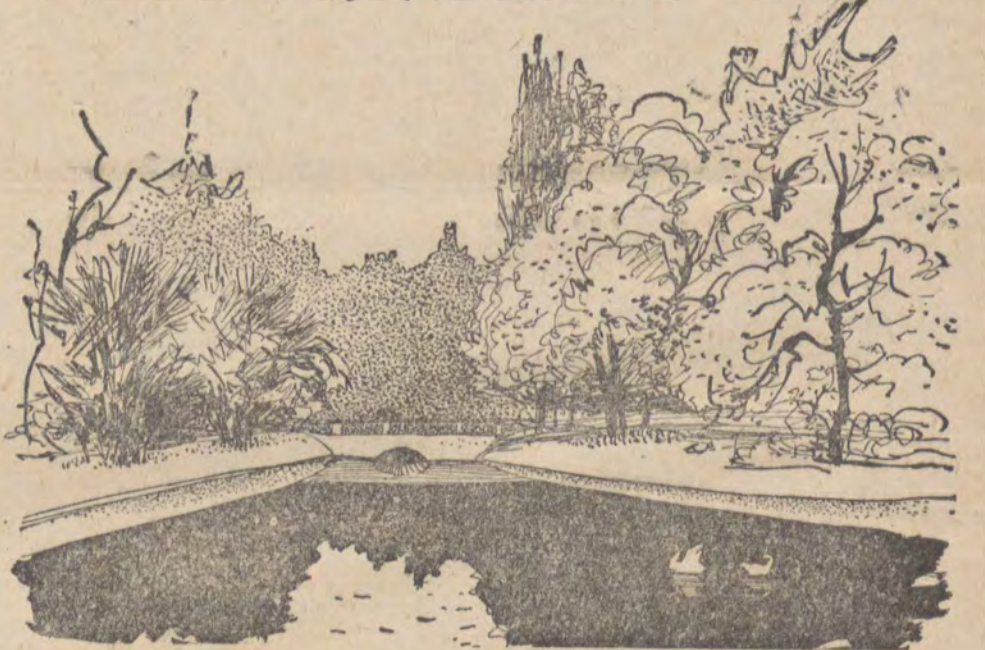
Parki łódzkie



Park Zdrowie



Stawy Stefana — Ruda Pabianicka



Park Julianowski

Rys. W. Kondek

Z problemów młodej literatury

Fałszywe alternatywy i prawdziwe sprzeczności

Dyskutując w nieskończoność o trudnościach rozwoju młodej literatury pogrążamy się od pewnego czasu coraz widoczniej w kręgu wymijających, jałowych alternatyw, które na dalszą metę stać się muszą alternatywami zgubnymi. Czy zauważyliście, że te fałszywe alternatywy stopniowo przestają nam prawdziwy obraz rzeczy, nie proszą, lecz zarazem płodną sytuację literatury w społeczeństwie przekształcającym swoje podstawy, ruchliwym więc sama siłą rzeczy wielorako złożonym, bogatym w rzeczywiste sprzeczności? Retoryczne pytanie. Wszak prawie wszyscy zgadzamy się co do tego, że stan świadomości społecznej i artystycznej młodej literatury potrzebuje od zaraz przenikliwej analizy, rozpraszającej systematycznie i wytrwale jej złudzenia i oszustwa dokonywane na sobie samej. Oczywiście, wszyscy dostrzegamy, że trwa w niej kryzys poczucia rzeczywistości, najwrażliwsi spośród nas samych gorzko przeżywają rozdźwięk między jej iluzjami estetycznymi a życiem, które ją zewsząd otacza i nieustępliwie unosi w pierwszą lepszą stronę. A jednak ciągle jeszcze nie potra-

fimy zdobyć się na bezkompromisowe przeświecenie świadomości literackiej młodego pokolenia, chociaż wszystko nam mówi, że analiza tego rodzaju jest dziś nagląca, niezbędnie potrzebna.

Pierwsze pytanie tego artykułu powinno więc być pytaniem skierowanym pod adresem młodej krytyki. Skąd bierze się jej dziwna i denerwująca opieszałość? A dalej: dlaczego brak jej odwagi konkretnych uogólnień i rozmachu syntetycznego, dlaczego jest w głównym swoim nurcie abstrakcyjna i daje wymijające oceny? Ależ dlatego, gotów odpowiedzieć jej przedstawiciel, że literatura, która ewentualnie mogłaby stać się przedmiotem pogłębiętego zainteresowania tej krytyki, zbyt jest jeszcze rozproszona i chwiejna, zbyt niewyraźna, pozbawiona programu i kierunku, po prostu zbyt niemrawa, by można było już obecnie pozwolić sobie na zupełnie swobodne i bezwzględnie krytyczne roztrząsanie jej form, jej idei, jej stanowisk myślowych, całej jej problematyki, która na razie zdaje się być tylko pozorem. Niechże owa literatura,

co chce być poddawana pod wszechstronny sąd krytyki, niechże ona sama najpierw skupi się, skryształizuje, wyodrębli, a wtedy pojawi się wreszcie dojrzała krytyka, zdolna do jasnego stawiania i rozstrzygania problemów związanych zarówno z funkcjonowaniem literatury w społeczeństwie, jak i z odbiciem społeczeństwa w literaturze. Otóż tak hipotetycznie pomysłana odpowiedź krytyka, zaatakowanego przez rówieśnego mu dajmy na to, poetę, rozgorzconego obojętnym przyjęciem, z jakim spotkał się pierwszy tom jego wierszy, będzie, niestety, odpowiedzią znowu wymijającą w poważnym stopniu fałszywą. Bo fikcyjne jest stawianie sprawy w ten sposób, że młoda krytyka nie może swobodnie i ściśle wypełniać swych funkcji dlatego, że odpowiada jej literatura znajduje się jeszcze w stadium raczkowania.

Nie godzimy się na przeciwstawianie sobie jako dziedzina całkowicie niewspółmiernych literatury i krytyki, niezależnie od tego, czy pierwszą uzna się za twórczą a drugą za nietwórczą i z tego powodu złośliwą, czy też odwrotnie, pierwszą za niezbyt mądrą a drugą za świetnie pod względem intelektualnym rozwiniętą i z tego powodu przemądrzałą. Poezja i krytyka są to w istocie dwie funkcje tej samej twórczości, dwie metody myślenia tego samego umysłu, dwie strony tego samego procesu wykuwania wartości, różne o tyle, o ile różnego języka używają dla osiągnięcia swych celów, ale zespolicone naturą wspólnej genozy, która stanowi względem nich myśl fundamentalną jądrową formacji dziejowej, czy też dążenie zasadnicze jakiejś klasy społecznej.

Prawdziwy problem polega na tym, po pierwsze, dlaczego w pewnych okresach historii i w historycznie określonych układach społecznych pewne funkcje ogólnej twórczości kulturalnej wysuwają się na plan pierwszy kosztem innych funkcji i po wtóre, czy taka dominacja jednej funkcji nad drugą zgodna jest z kierunkiem rozwoju potrzeb społecznych, czy też przeciwnie, rozmyja się z tymi potrzebami zacierając je, mistyfikuje. Innymi słowy, konkretnie, problem dzisiaj sprowadza się nie do tego, że młoda poezja i młoda krytyka mówią jakby obok siebie, językami różnymi i wzajemnie dla siebie niezrozumiałymi ani nawet nie do tego, że poezja ta i ta krytyka czują się przynależne do odrębnych porządków myślowych nie zbiegających się w jakąś ogólniejszą całość, problem rzeczywisty sprowadza się do tego, czy młoda literatura w swojej podstawowej funkcji przeżywa, rozpoznaje i wyraża głębokie braki, a zatem i palące potrzeby współczesnego społeczeństwa, czy przeciwnie, nie widzi ich, nie zna i nie stara się poznać. Sądze, że funkcja krytyczna jest prawie nieobecna we współczesnej młodej literaturze, i że na tym polega jej rozminięcie się ze społeczeństwem, które tak rzadko kiedy, potrzebuje obecnie twórczości krytycznej, śmiałej myślowo, doświadczonej, a to w tym celu, ażeby móc do końca przełamać się wewnętrznie i bardziej zdecydowanie rozwinąć zawarte w sobie możliwości.

Nie oznacza to, że mamy za dużo poetów, bynajmniej, skoro ruch poetycki młodych przybiera charakter spontaniczny, żywiołowy, nieledwie masowy, łączący się to musi z szerszymi uzasadnieniami, być może z

LISTY CZECHOWA

Kupujemy wciąż nowe książki, ale nie od razu zaczynamy je czytać. Niektóre z nich odkładamy na później, na chwilę sposobniejszą, jakby w przeczekaniu, że będzie ona bardziej korzystna dla dziecka i jego autora. Tak właśnie zdarzyło mi się z „Listami” Antoniego Czechowa. Spoczywały na półce przez kilka lat i dopiero niedawno sięgnąłem po nie, sam już nawet nie wiem, z jakiej okazji. W języku rosyjskim wydano ośm tomów listów, które są prawdziwą kopalnią informacji o ludziach i wydarzeniach, dają wgląd w życie prywatne i warsztat literacki autora „Wujaszka Wani”. Po polsku mamy zaledwie wybór „Listów” Czechowa, pomieszczony w jedenastym ostatnim tomie jego „Dzieli”, zresztą razem z opisem wyprawy na wyspę Sachalin. Wybór ten jednak obejmujący listy z lat 1883-1904, jest dość obfity i pozwala wnikać głębiej w życie i pracę tego skromnego i niezwykle zarazem pisarza.

Zawsze, ilekroć przyjdzie mi czytać listy pisarzy, ogarnia mnie ambiwalentny nastrój radości i melancholii. Radość, że listy stanowią istotną część dorobku pisarza, melancholia, że tak było kiedyś, ale tak nie jest dzisiaj i z pewnością nie będzie tak jutro. Sztuka epistolarna umiera i nie jest to stan niezapobiegliwy. Możemy się cieszyć listami pisarzy epoki minionych, przyzwoicie pokłonem nie będąc przyzwyczajonymi do radości z podobnych radości po nas, bo współcześni autorzy ograniczają się przeważnie do pisanego podania o stypendium. Podanie to także forma listu, tyle, że uboga i diablo monotonna. Sprawiedliwość każe przyznać, że i niektórzy wybitni pisarze z przeszłości nie pozostawili po sobie ciekawszego dorobku epistolarnego. Z zachannością rzuciłem na nie wydane bodaj przed rokiem listy Leopolda Staffa. Jakież rozczarowanie! Był to świetny poeta, ale w listach niewiele zaiste miał do powiedzenia.

Pod tym względem Antoni Czechow dostarcza nam nie la da satysfakcji. W jego listach przelata się cała epoka, Czechow prowadzi korespondencje bardzo rozległą z wszystkimi znanymi ludźmi w Rosji. Oczywiście niektórzy z nich zostali całkowicie zapomniani, ale wówczas odgrywały ważną rolę w życiu kulturalnym i społecznym swego kraju. W listach Czechowa odkrywamy jakby nową twarz, albo powiedzmy raczej: pewne, nieznane nam rysy, zarówno ich autora jak i jego odbiorców. Przyznam się, że teraz, po przeczytaniu listów Czechowa, wzrosła mi się wizerunek Włodzimie-

ra Korolenki, który był nie tylko znakomitym pisarzem, lecz — jak się okazuje — czołowym, głęboko mądrym, życzliwym i dobrym. Spośród wszystkich ludzi, z którymi Czechow korespondował, on, Korolenko, chyba najbardziej wdraża się w pamięć. Chwilami opanowuje człowieka uczucie, że oto pozyskał nowego, wielce światłego przyjaciela.

Ciekawe, ale z innego powodu są listy do Gorkiego. Czechow cenił Gorkiego wysoce, lecz jednocześnie miał wielkie zastrzeżenia w stosunku do jego prozy i dramatów. Autorowi „Matki” zarzucał wielosłowie i przesadę w obrazowaniu. Widać to zwłaszcza w specjalnym wyodrębnionym tomie listów Czechowa do Gorkiego i Gorkiego do Czechowa, wydanych w Moskwie w 1951 roku. Kapitałna lektura, rzucająca spór światła na wzajemne stosunki pomiędzy pisarzami i na ich osobowości. Czechow — człowiek jakby uciśniony, w sądach wstrzymujący, uważny, Gorki — otwarty, rozbuchany, powodziący się, nawet: ekshibicjonista. Oto jakże charakterystyczne wyznaczniki Gorkiego: „My wszyscy lubimy się kajać i lubimy słuchać jak kajała się inni”.

Nad wszystko jednak te „polskie listy” dostarczają sporo interesującego materiału o sprawach literackich. Poznajemy z nich poglądy Czechowa, jego upodobania a z rad, których udzielał młodym pisarzom, wnosimy, że był to czołowy i bardzo skrytykowany i nowoczesnych zaprawianych na sztukę pisarstwa. Teplota bezbożności gadulstwa, zalecał oszczędność słowa, ścisłość i konkretność opisu. W liście do Suworina można wyczytać: „Pisarz nie musi być sędzią swoich postaci ani tego, o czym mówi, tylko bezstronnym świadkiem”. W liście do Leontiewa, jakby rozwijając swoje uwagi na temat obiektywizmu pisarza, Czechow stwierdza: „Wszystko wiedza i wszystko rozumieją tylko głupcy i blagierzy”. Swoje stanowisko pisarskie określił najdosadniej w liście do Pleszczewy, Czechow napisał w nim: „Nie jestem ani liberałem, ani konserwatystą, ani ewolucjonistą, ani mnichem, ani indyferentystą. Chciałbym być w moim pisarzem i tyle, a żałuję, że Bóg nie dał mi siły, aby nim zostać. Nienawidzę kłamstwa i przemocy w każdej formie”.

Wiele w tych listach uwag o krytyce i krytykach. Czechow nie cenił krytyki literackiej swojego czasu i odnosił się do niej lekceważąco, żeby nie powiedzieć — z

pogardą. W liście do Pleszczewy wyrwie mu się westchnienie: „Eh, gdybyśmy mieli krytykę z prawdziwego zdarzenia!”, a zaledwie w miesiąc później do tegoż adresata napisze bez osłonek: „Wszyscy ci krytycy to lizusy i tchórze, boją się zarówno chwalić, jak ganić, tylko drepczą żałośnie i nijako gdzieś pośrodku. A co najważniejsze — nie ufają sobie”.

Niemalże miejsca w swoich listach Czechow poświęcał sprawom stylu i języka. Był orędownikiem zwięzłości. Pisał: „Lepiej niedopowiedzieć niż powiedzieć za dużo”. „Barwność i piastyczność opisów daleko tylko prostota”. „Opowiadanie bez kobiety, to jak maszyna bez pary”. „Zwięzłość to siostra talentu.” Do młodego pisarza M. Polinowskiego, pisząc Czechow z Jaltę w 1900 roku: „Żeby wyrobić sobie styl, należy dużo pisać i dużo drukować, pozycji w literaturze, choćby najskromniejszej, nie otrzymuje się, nie bierze, ale się ją wywalcza!”

Lektura listów Czechowa jest równie pasjonująca jak lektura jego opowiadań. Czechow do pracy pisarza podchodził niezwykle poważnie. Żył niedługo (zaledwie 44 lata), ale napisał wiele i rzeczy wybornych. Czechow był pracowity, swoje krótkie utwory szlifował uparcie i przebrał wielokrotnie. Pewnie dlatego zyskał sobie miano rosyjskiego Maupassanta. A są i tacy, co uważają, że Czechow jest wybitniejszym pisarzem niż Maupassant. Być może mają rację.

Książki

nadesłane

- Stanisław Czernik — Autentyki, LSW, cena zł 10.—
Nikos Chadzinikolau — Wyzwolenie oczu, W. Poz., cena zł 12.—
Winnice słońca. Wiersze młodych poetów bułgarskich — Iskry, cena zł 20.—
Leszek Prorok — Tamta jest, W. Poz., cena zł 12.—
Zbigniew Szymański — Wyganie form, W. Mors, cena zł 10.—
Barbara Biernacka — Wyznania ironiczne, Czytelnik, cena zł 10.—
Teresa Bojarska — Czas samotności, PAX, cena zł 30.—

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

Jak czytać Styrona?

Jakże ciężko być pisarzem Południa po Faulknerze! (pisząc Południe mam na myśli krag tradycji faulknerowskiej, choć najczęściej określenie to wiąże się z pochodzeniem pisarzy). Jak trudno znaleźć własną odrębność! Bo czyż ten grunt, z którego wyrosła faulknerowska wersja ludzkiego losu, uległ radykalnym przemianom? Czy przestał być Ziemią Tragiczną, źródłem winy i zbrodni?

Czytając pisarzy Południa mimo woli porównuje się ich z Faulknerem. Tylko, że takie porównania inaczej wyglądają u nas a inaczej w Ameryce. Pisarze amerykańscy bowiem w poszukiwaniu odrębności często uciekają w to, co dla nas odrębnością nie jest, w krag technik bliższych nam i aż do znużenia znanych. My natomiast szukając tego, co oryginalne, sięgamy często po to, co oni chcą traktować jako anachronizm. Widzimy więcej wartości uniwersalnych, a mniej lokalnych. Inny punkt widzenia, a więc inne kryteria.

Czytamy więc Styrona w Europie, nekanej dążeniem do samowiedzy, w Europie, gdzie to dążenie najmocniej wyraża się — prywatnie w dyskusjach mierzonych lyżeczkami kawy, służbowo — w monologach wewnętrznych. Samowiedza ta obarczona jest zarówno grzechem megalomanii, jak zwątpienia, gdyż nierzadko superanaliza psychologiczna lub psychoparaboliczna załamuje się w historyczne: „Zadna wiedza o nas nie jest możliwa!”. I wtedy może sięgnąć po Faulknera, po jego pokorę poznawczą, z góry założoną, aby dowiedzieć się, że absurdem jest mierzenie nas formułami, które sami wymyśliśmy, że najistotniejszą cechą ludzkiego losu jest niepodleganie formułom, a mądrość pisarza tym jest głębsza, im mniej wierzy on w możliwość jednoznacznych interpretacji.

Ale Styron musiał odejść od Faulknera, aby istnieć jako Styron. Wierzę, że najpierw postawił swój piękny, gładki język naprzeciw jego szorstkiego belkotu. Dlatego dobrze się czyta Styrona.

Historia Cassa z „Na pastwę płomieni” to dzieje syna marnotrawnego z mocno wypunktowanym happy endem. Cass zgrzeszył wobec Murzyna i poczuł winę wygnano go z ojczyzny. Wierzę, że w Paryżu, mieszkając w Sambuco, i zgrzyta zębami przed pustym płótnem, bo jest potencjalnym malarzem, a cierpiąc na niemoc twórczą zapija się, krzywdzi żonę i dzieci oraz miewa wizje na podobieństwo bohaterów Dostojewskiego. Wreszcie spotyka Masona. Mason

to diabeł, który chce kupić jego duszę za dolary. Diabeł jest esencją bogatego, brutalnego i snobistycznego amerykańizmu. Cass zabija Masona. Chce się oddać w ręce władzy, ale nie potwala mu na to przyjaciel — szlachetny policjant faszysta-humanista. Wierzę, że syn marnotrawny wraca do ojczyzny, gdzie nareszcie się stabilizuje. Ma stałą pracę, maluje w wolnych chwilach, szanuje żonę i dzieci. Staje się bohaterem pozytywnym. Do tego — naprawdę świetne — tworzenie tzw. piękła duszy ludzkiej, dużo dobrej publicystyki, gwałtownie atakującej amerykańską rzeczywistość. Można i tak przeczytać Styrona. Czy to wszystko? Nie. Bo skonstruowana przez pisarza fabuła jest głą pozorem. Cass wcale nie jest ofiarą Masona. To Mason jest ofiarą Cassa. Nic nie wiadomo na pewno o diablem wnętrza Masona. A dwa najbardziej wstrząsające momenty dotyczą właśnie jego — kiedy zostaje sam i kiedy ginie za zbrodnię, której nie popełnił. Zarówno Cass jak i Mason młotają się w kręgu, który zakreślił im ich przeszłość, żyją w więzieniu. Ale Cass chce poznać granice tego więzienia, chce się dowiedzieć, kim właściwie jest, Colla Wilson pisał: „A outsider? On również przebywa w więzieniu... Lecz outsider wie o tym i pragnie wydostać się na wolność. Jednakże uciecz-

ka z więzienia nie jest łatwą sprawą, musi się wiedzieć wszystko o swym więzieniu.”

Cass jest silniejszy od Masona o broń samowiedzy. Mason widzi jako aktualną postać swojego więzienia. Zabija go. Mason natomiast nie stara się dowiedzieć, kim jest, (jak to czyni każdy szanujący się outsider), więc przegrywa. Przegrał bohater przedstawiony po faulknerowsku w relacji, nie znający głębin swojej świadomości. Styron zaprezentował wiarę w moc samowiedzy. Cass został uzdrowiony. Stał się człowiekiem na niewielką miarę — pisarzem odrzuć wzrocz tragicznu i wielkości. Ta „zwyczajność” Cassa to także antyfaulknerizm. Niestety, drażniący nas w takim wydaniu. Zresztą w ogóle tonny tzw. optymizmu w powieściach Styrona nie dorównują jego tonom tragicznym, są robione na siłę. Jest to pisarz rozpaczy z obsesją happy endu, mającego przeciwstawić się faulknerowskiej klęsce. Umie doprowadzić do rozpaczy do maksymalnego napięcia, do granic zbrodni albo samobójstwa. Styron to pisarz wysokiej klasy. Nie jego wina, że jest z Południa i że przed nim czytało się Faulknera.

*) William Styron. Na pastwę płomieni. Czytelnik 1967, tłum. B. Zieliński.



awansiem obyczajowym, cywilizacyjnym, duchowym warstw historycznie młodych, które jako realna siła wkraczała dopiero teraz na arenę dziejów i chcą natychmiast zaznaczyć swój twórczy udział, w kulturze podjęciem formy najbardziej spośród znanych dotychczas bezinteresownej i wyzwolonej, niezależnej, dumnej, mianowicie — formy poetyckiej. Jeśli by rzeczywiście tak było, to wspomniana aspiracja poetycka oświeconych warstw ludowych popadałaby zarazem w sprzeczność z samą sobą, gdyż chcąc w gwałtownym skrócie przejść do epoki alfabetizmu do epoki form możliwych szlachetnych i wysublimowanych, omijałaby cały szereg etapów pośrednich, całą dialektykę z trudem kształtującego się życia i stawalaby się ostatecznie nie poezją, tym społecznym realnym życia lecz rodzajem jego systematycznego okłamywania, rusa ozdoba bez żadnej konsekwencji na płaszczyźnie praktycznej. To właśnie niebezpieczeństwo nie zobowiązującego formalnego ornamentu zdaje się znajdować swój najostrejszy wyraz w tzw. „laboratoryjnym” charakterze dużej części dzisiejszej młodej poezji, w owym eksperymencie, który jest eksperymentem tylko z nazwy, w istocie — wygodnym pseudonimem dla pustki i braku wszelkich rzeczywistych zaangażowań.

Myślę, że jednak ten, kto chciałby poezji tej łączącej zwykle z ośrodkami wielkomięskimi, przede wszystkim z Warszawą, przeciwstawić rzekomo o wiele bardziej autentyczne i głębokie zaangażowanie poetyckie młodych ludzi działających na dalekiej prowincji. Podstawa przypuszczeń, że miałaby być to twórczość ostrzej

reagująca na rzeczywiste problemy współczesności, bywa biografia względnie po prostu pochodzenie społeczne tych młodych piszących ludzi. Za nikłe to przecież uprawnienie do nadziei na wielką twórczość, owa metryka, legitymacja czy dowód osobisty. Przynależność do klas historycznie postępowych czynny związek z ich idealami miary się w sferze myśli i sztuki czym innym, w przeciwnym bowiem razie gdyby sam goły fakt biograficzny miał tu coś rozstrzygać, zamiast światła wartości, które zawsze tworzy się na własne ryzyko, zamiast świata trudnych wyborów walk myślowych, dramatycznego łamania się z sobą samym i żarliwych przezwyciężeń, otrzymalibyśmy świat gołowy, świat duchowego bezwładu i lenistwa, nieczym nie zasłużonej renty kuponu odciennego od biografii i pochodzenia. Zwolennicy podobnie nieskomplikowanego optymizmu kulturalnego powinni się zastanowić, co właściwie oznacza zjawisko wytracania przez dzisiejszą twórczość zwaną twórczością młoda wszelkiego istotnie młodzieńczego rozpadu, ideowego światoburstwa, zagubienie przez nią wszelkich ambicji krytycznego przewartościowania zastanych pojęć i wyobrażeń.

W rzeczywistości tak jak nie można przeciwstawiać sobie alternatywnie krytyki i poezji, tak nie sposób się upierać przy również fikcyjnej dwubiegowości „zaangażowanej” prowincji i „kawiarnianej” Warszawy, albo odwrotnie, nowatorskiej Warszawy i intelektualnie zacofanej prowincji. Znajdujemy się wszyscy w sferze oddziaływania cywilizacji przemysłowej i miejskiego stylu życia jako stylu współczesnego, nie zwyciężającego, a historycznie postę-

powego, i można mówić co najwyżej o nierównomiernościach rozwoju, ale w żadnym razie nie o jakościowej różnicy między kulturami poszczególnych ośrodków. A swoją drogą, czy w strukturalnych dysproporcjach społecznego rozwoju nie tkwi jedna z przyczyn niepokojącego zjawiska przerosu funkcji zdobniczej i metaforyzującej nad funkcją racjonalizującą doświadczającą i krytyczną w młodej literaturze. Powtarzam, że nie chodzi po prostu o ilościową przewagę formy wierszowanej w młodej literaturze, lecz o słabość całej funkcji krytycznej, o słabość, która rozkłada się zarówno na poezję, jak i na samą krytykę.

Czym zaś grozi w szerszej, nie tylko literackiej skali, osłabienie funkcji krytycznej, nie trudno jest przewidzieć.

Rzeczywistość nie wymaga oczywiście stałej afirmacji, rzeczywistość bowiem istnieje. Stalej natomiast afirmacji wymaga ideał, który chcemy urzeczywistnić, wprowadzić w życie; urzeczywistnić zaś ideał dokonając tego czynu pozytywnego można jedynie przez uprzednie krytyczne odniesienie się do wszelkich form istniejących, lecz sprzecznych z ideałem, nie ucieleśniających go w pełni. Jest to rzeczywista sprzeczność zbiorowej historii ludzi, którzy wytrwale budują swój świat, aby go porzucić w poczuciu jego niewystarczalności, i w samym sercu tego ruchu znajduje się socjalizm, ta konsekwentna krytyka wszystkich dotychczasowych osiągnięć człowieka i zarazem wielka obrona człowieka w jego przyszłość. Co więcej, sam socjalizm wkroczył w epokę krytyczną, gdy rozwijając się

wchodzi w nieuniknione sprzeczności z własnymi początkami i z własnymi już zrealizowanymi formami, toteż walczyć dziś o wartości socjalistyczne w literaturze znaczy nie tyle być apologetą przekraczających własne początków rzeczywistości socjalistycznej, czyli praktycznie bronić bez ruchu pod szyldem nienaruszalności istniejących form socjalizmu, znaczy to przede wszystkim narażając się często na niesprawiedliwość i niesłuszne oskarżenia, wykazywać rzeczywistości jej dzisiejsze ograniczenia i braki, i odkrywać w niej prawne napięcie i dążeń, które ją już teraz przekraczają.

Widzimy, że istnieje sprzeczność między rozbudzoną potrzebą awansujących mas a realnymi możliwościami zaspokojenia tych potrzeb, między dynamiką, szerokością i różnorodnością bazy społecznej, na której aktualnie wyrasta kultura, a pewnego rodzaju biurokratyczną uniformizacją i zeszytywaniem kulturalnej nadbudowy, nad budowy idei, programów kulturalnych, prądów artystycznych i literackich. Znajdując się w tym ognisku sprzeczności co realnie poruszają nasze dzisiejsze społeczeństwo, młoda literatura musi stać się literaturą krytyczną, jeśli nie chce być literaturą przebrzmiałych fikcji i złudzeń, obrończynią pustej nierzeczywistości, twórczynią pretensjonalnych ozdób i koronek mających przesłonić skurezoną wysiłkiem brudną twarz Prometeusza. Prawdziwą twarz rzeczywistości.

I zjazd Unii Polskich Pisarzy- Medyków

Przed rokiem relacjonowałem na łamach „Odgłosów” przebieg Światowego Kongresu Lekarzy-Pisarzy, który odbył się w Debreczynie i był poświęcony wspomnieniom o Albercie Schweitzerze. Kończąc artykuł wzmiankowałem o zamiarze stworzenia stowarzyszenia polskich lekarzy-pisarzy i włączenia go w międzynarodowy nurt.

Obecnie miło mi jest zaanonsować, że ta inicjatywa spotkała się z pełnym zrozumieniem i poparciem odpowiednich władz w Polsce. Wynikiem tego był I zjazd Unii Polskich Pisarzy-Medyków, który odbył się w dniach 8-9 października br. w uroczym pałacyku Min. Kultury i Sztuki w Radziejowicach pod Warszawą. Dostojne, stylowe sale dawnej siedziby Krasieńskich gościły obecnie ok. osiemdziesięciu uczestników pierwszego w Polsce oficjalnego spotkania lekarzy, których skłoniło do podobnego kontaktu umiarkowanie pióra, próba sił w drugim poza zawodem kierunku — pisanie.

Tematyka zjazdu, nad którym protektorat objął Min. Kultury i Sztuki oraz Min. Zdrowia, poświęcona była w pierwszym dniu znakomitym przedstawicielom literatury i medycyny Tadeuszowi Boy-Zeleńskiemu i Januszowi Korczakowi, natomiast drugi dzień przypadł sprawom organizacyjnym. Rolę gospodarza, a następnie dyskretnego moderatora dyskusji nad wygłoszonymi referatami pełnił w sposób niezwykle taktowny Jerzy Pomianowski, znany literat i lekarz.

Odnosząc się do obowiązku kronikarskiego, ważniejsze wydarzenia tej miłej, a jednocześnie ważnej imprezy, należy wspomnieć, iż uczestniczyło ją wielu gości z zagranicy. Uczestników zjazdu powitał dr Diamond Berger, prezydent Światowej Unii Lekarzy-Pisarzy (UMEM), której siedziba znajduje się w Paryżu. Serdecznie witował mu dr P. Nöel — sekretarz generalny tej organizacji, także Francuz. Ciepłe akcenty, jakie dominowały w przemówieniach kolejnych przedstawicieli zagranicznego ruchu lekarzy-pisarzy oraz sympatyczna wypowiedź p. Gizgosa, sekretarza ZLP, stworzyły już na wstępie atmosferę sprzyjającą dalszym obra-

dom. Rangę zjazdu podnosiła obecność M. Wańkowicza i J. Lutowskiego, znanego literata i jednocześnie lekarza.

Tematami wiodącymi jedenastu przedstawionych referatów były zagadnienia: mentalność lekarska a literatura, tradycje literackie w medycynie polskiej, współczesna twórczość literacka (teatrna i filmowa) lekarzy oraz działalność pisarska i społeczna T. Boy-Zeleńskiego i J. Korczaka, którym przede wszystkim zjazd poświęcono.

J. Pomianowski poddał wnikliwej analizie zjawisko jakim jest istnienie i obecne organizowanie się ruchu literackiego pisarzy-medyków. Ciekawie zabrzmiął statystyczny argument, z którego wynikało, że najwięcej uczestników przysporzyło zawodników pisarskim w świecie środowisko lekarskie, poza prawniczym.

Intymna, lecz obiektywna znajomość istoty ludzkiej, aktywny humanizm i zdolność powściągliwej analizy — daje wielki atut dla twórcy lekarza-pisarza, czyniąc z niego niekiedy lidera światowej literatury. Tu padły nazwiska: Dante, Diderot, Rawel, Moravia, Aksjonow.

Czechow, także lekarz, odpisał jednemu ze swych oponentów: „Wierzyłem w Boga, to nie trudne. Wierzyłem w niego i inkwizytorzy Spróbuj uwierzyć, pan, w człowieka”.

M. Łyskanowski, psychiatra z wykształcenia, dał w swoim referacie wnikliwy, niestety ograniczony brakiem czasu, przegląd tradycji literackich w medycynie polskiej. Niekiedy, wprost imponująco brzmiały relacje o znakomitych lekarzach, którzy parając się piórem wnieśli nieprzeciętny wkład do literatury polskiej i światowej. W odczycie przewinęło się szereg nazwisk, już od epoki Odrodzenia, z których autor niniejszego artykułu zdołał zapamiętać kilka: Strusia, Śniadeckiego, Rolle, Biegańskiego, chirurga Matlakowskiego, który przetłumaczył Hamleta.

Na specjalną uwagę zasługiwała wyczerpująca rozprawa K. Sułki — lekarza z Warszawy, który omówił

współczesną twórczość literacką lekarzy. Praca podkreśliła gatunki literackie, w jakich reprezentowani są lekarze oraz jakie tematy podejmują. A oto kilka problemów, świadczących o ciężarze gatunkowym niektórych zagadnień: komu udzielić pierwszego pomocy w nagłej sytuacji — inteligentowi, czy pracownikowi fizycznemu? czy leczyć wroga?...

Nie od dzisiaj znana jest więź między literaturą i medycyną. Tym pomostem jest pierwiastek humanizmu.

Celowo pomijałem dotychczas temat Boya i Korczaka, mimo że uwagi dotyczące ich przewijały się w tekście każdego niemal referatu.

Tym dwu postaciom poświęcono specjalną grupę wykładów, które kontynuowali wybitni literaci i krwicy: H. Mortkiewicz-Olczakowa, J. Hen i A. Kirchner.

Najdecyduje się streszczać w kilku lapidarnych zdaniach wielu stron maszynopisu i wysiłku, jaki został w tym kierunku zrzucony. Mimo że charaktery wydają się różne, Boy i Korczak mają wiele analogii, a na tragiczniejszą z nich — śmierć z rąk hitlerowców.

Boy — twórca biblioteki stanowiącej wartość narodową, autor „Słówek”, których popularnością był... przerażony, nadal stał się dla współczesnych niezwykle

cocktail osobowości i pojęć, wychodzący daleko poza ramy przeciętnych smakoszy. Wbrew woli wszedł do Pantheonu polskich świętych, co zupełnie nie pasowało do jego mentalności i czego chciał uniknąć przez swoje życie, które niekiedy nazywał „bia zęskim”.

Korczak — to pseudonim literacki Henryka Goldszmidta, lekarza, pedagoga, moralizatora, społecznika, pisarza, który stworzył, piękną legendę o swoim życiu i pracy.

Postać L. Hirsfelda, uczono go o światowej sławie, naświetlił A. Baron — lekarz z Wrocławia.

Trudno w krótkiej relacji przeprowadzić analizę znaczenia odbytego zjazdu. Niewątpliwie jest ono duże. Obiektowość organizacyjną nieskoordynowany dotąd ruch pisarski wśród medyków, którym obecnie kierują: J. Pomianowski, J. Lutowski, G. Fedrowski, M. Łyskanowski, R. Gut, oraz między innymi niżej podpisany.

Zapewniono regularny kontakt lekarzy, dla których literatura jest zajęciem znacznie przekraczającym granice popularnego hobby.

Powstała jeszcze jedna platforma, która może przyczynić się do nawiazania przyjaznych kontaktów nie tylko rodzimych, ale także wychodzących poza granice naszego kraju.

Tele-obiektyw

Nasz łódzki kompleks i jego telewizyjne skutki

„Tele-obiektyw” to urządzenie sprytnie pomyślane. Nad recenzjami usiłującymi omawiać całonocny program tv (nikomu jeszcze taka sztuka nie wyszła, bo ktoś ze śmiertelnych wysiedzi kilkadziesiąt godzin przed telewizorem!) ma tę przewagę, że ogniskuje się na dowolnie wybranej pozycji i snuje na jej temat rozważania.

Wyobraźcie sobie, państwo jaką to daje szansę omijania raf i miejsc niewygodnych? Jak pozwala swobodnie pluskać się w tematyce telewizyjnej jak w ciepłej kąpiel, odrzucając wszystko co niemile, nikomu się nie narażając?

A przecież tym razem wypadnie zrezygnować z wygod i skierować „Tele-obiektyw” w stronę, która chciałoby się ominąć, przemilczeć. I przyjdzie się narazić, bo na ten temat napisać można tylko źle. Inaczej nawet masyżna odmowa byłaby posłuszeństwem. Rzadko bowiem zdarza się emisja tak wszechstronnie, totalnie nieudana, jak program rozrywkowy „Na trasie Łódź-Warszawa”, nadany — eheu! — z łódzkiego studia w sobotni wieczór 7 bm.

Zjemy w czasach kompleksów. Kto nie cierpi na żaden kompleks ten jest osobą podejrzana. Jesteśmy skorzy uważać go za człowieka gruboskórnego lub mizernej inteligencji. Ma swój kompleks i Łódź: kompleks stolicy. Ulegamy mu wszyscy w większym lub mniejszym stopniu. I, kłanie się na bogów, nie bez rozlicznych przyczyn!

Na nadmierną dominację Warszawy narzekają cały kraj. Nikt rozsądny nie kwestionuje uprzywilejowanej pozycji stolicy. Ale drażni nadużywanie tych przywilejów. Denerwuje protekcyjność głosów do prowincji, którą czasem w zefemizowany sposób nazywa się terenem.

Łódź ma jednak swój osobny rachunek z Warszawą. Choć dzieli nas stosunkowo niewiele kilometrów (a może właśnie dlatego, że tak niewiele) przeciętny warszawiak — dla Łodzi szczególnie nie laskawy. Ileż to np. pogardliwego lekceważenia okazał ostatnio naszemu miastu znany felietonista „Kultury” (przez dyskrecję nie dodam, że sygnuje felietony trzytygodniowym skrótem), wspominając dawne porzekadło: „Pochodź z Łodzi, to nie ucho- dzi!”

Nie trzeba oczywiście uogólniać. Nie samą nieczyłnością obdarza nas gród nad Wisłą. Mamy w tym mieście wielu oddanych i wypróbowanych przyjaciół na najrozmaitszych, w tym i na naj wyższych szczeblach. A przecież — nie kłamię! — kompleks jest. No, powiedzmy: kompleksik!

Ten właśnie kompleksik za

inspirował autorów i redaktorów wspomnianego wyżej tv — widowiska. Ale nie o kompleksik mam do nich pretensje. O zły warsztat. O zły smak. O złe wykonanie. Chyba nikt, ani scenarzyści, ani autor tekstów piosenek, ani reżyser, ani wreszcie aktorzy nie byli przekonani o imprezy, w której wypadłom wziąć udział. Nie też w programie tym nie trzymało się kupy. Niekonsekwencja gonila niekonsekwencję. Nawet pomyślowe środki techniczne i ozdoby typu projekcji fragmentu filmu o Zofii Nasierowskiej pt. „Portret” lub pojawianie się i znikanie wykonawców w oknie przedziału kolejowego, nie przysłużyły się całości.

A z treścią było chyba najgorzej. Pociąg pośpieszny Łódź — Warszawa (od lat z niewiadomych przyczyn odchodzący o nieładzko wcześniejszej porze) wykorzystywany już był satyrycznie i na poważnie dziesiątki razy. Jak można było, w omawianym programie łódzkiej tv wrócić raz jeszcze do tej wyeksploatowanej żyły?

A skoro już, to co nowego na ten temat mieli do powiedzenia autorzy? Chcieli dać upust żalom? Być może, ale zrobili to nieśmiało, z przeproszającym się góry za wszelką przynależnym usmiechem na ustach. A może chodziło tylko o zabawienie widzów? Gdzie w takim razie le dowcipy? Przyszłam, że nawet przy dobrej woli nie dało się ich doszukać w widowisku.

Nie chce dłużej pastwić się nad winnymi. Przykrzy mi na wet, że nie poskapiłem im gorzkich słów, zwłaszcza, że wielu z nich cenię i znam z dobrej roboty telewizyjnej. Ale niewypał z programem „Na trasie Łódź — Warszawa” jest szczególnie bolesny.

Przed wszystkim dlatego, że taki „kompleksowy” temat wolno podjąć tylko w wypadku, gdy ma się naprawdę dobry pomysł. Inaczej można teje stolicy podłożyć się fatamigany. Co miało miejsce.

Ale nie to jest dla mnie najważniejsze. Chodzi mi o opinię, o dobrą opinię, jaką od lat cieszą się łódzkie programy rozrywkowe w kraju. Właśnie nasz ośrodek, wbrew trudnościom i oporom pierwszypokazal na małym ekranie co to jest telewizyjny show. Janusz Rzeszewski, spec od telewizyjnej rozrywki, pełni od niedawna funkcję głównego reżysera LOT...

Dobra sławę łatwo można utracić. Wystarczy parę jeszcze programów takich jak „Na trasie Łódź — Warszawa”.

Władysław Głowacki

spektakle tygodnia

TEATR WIELKI	„Kniaź Igor”, 1 spektakl	1276 — 100%
	„Carmen”, 1 spektakl	1276 — 100%
	„Rigoletto”, 1 spektakl	1276 — 100%
	„Straszny Dwór”, 1 spektakl	1276 — 100%
	„Pan Twardowski”, 2 spektakle	2552 — 100%
NOWY	„Słuby panieńskie”, 1 spektakl	600 — 96%
	„Świerszcz za konimem”, 3 spektakle	1500 — 88%
MAŁA SALA	„Skiz”, 5 spektakli	900 — 90%
POWSZECHNY	„Noc spowiedzi”, 2 spektakle	1320 — 100%
	„Mocne uderzenie”, 1 spektakl	550 — 90%
	„Tango”, 2 spektakle	1320 — 100%
JARACZA	„Ogniem i mieczem”, 2 spektakle	1254 — 98%
	„Przełom”, 2 spektakle	1280 — 100%
7.15	„Paryżanin”, 4 spektakle	1680 — 100%
OPERETKA	„Domek trzech dziewcząt”, 6 spektakli	4301 — 65%
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ	„Ktoś nowy”, 6 spektakli	1536 — 50%
FILHARMONIA	2 koncerty symfoniczne 800 słuchaczy	60%

Rozmowa z Jerzym Skolimowskim



Pytanie: Wyjątkowa pozycja „Niewinnych czarodziei” w twórczości Wajdy wyjaśniła się dopiero z chwilą, kiedy zobaczyliśmy „Rysopis” i „Walkower”. Jaki był rzeczywisty udział Pana w realizacji „Czarodziei”?

J. SKOLIMOWSKI: Ze względu na swój wiek byłem swego rodzaju ekspertem od spraw młodzieżowych, które są tematem filmu. Postać bohatera, a także tego boksera obdarzonego licznymi cechami autobiograficznymi. Jak Panu wiadomo, boksowałem w młodości, potem zainteresowałem się jazzem. Ruch jazzowy w tym okresie — a więc w latach 1955-56 w Polsce był zjawiskiem niezwykle prężnym. Ludzie uprawiający jazz stanowili niwałpiwie elitę intelektualną. Ponieważ nie chciałem ograniczyć się jedynie do kibicowania, zacząłem sam uprawiać ten rodzaj muzyki, grałem na bębnach. Raz się nawet zdarzyło, że wystąpiłem publicznie z zespołem „Melomanów”. Ponieważ ich etatowy perkusista „Dentox” — Sobociński spóźnił się i pozwolono mi zasiaść do bębnow (...). Jeździłem też później z „Sektetem Komedy” po całej Polsce, robiąc oprawę scenograficzno-świetlną do ich koncertów. Toteż ten rys bohatera „Niewinnych czarodziei”, którego hobby czy też pasją, może nawet większą niż praca zawodowa, jest granie na bębnach, zaczerpnąłem z własnych doświadczeń. Z kolei to, że jest on lekarzem i to sportowym lekarzem, właśnie w boksie, też opiera się trochę na moich

własnych doświadczeniach. (...) Później byłem przez krótki czas dziennikarzem sportowym. Zresztą później zostałem dziennikarzem filmowym, pisywałem w „Ekranie” kilka razy jakieś recenzyjki, jakieś reportaże z planów. (...) Miałbym ochotę czasami pisać, bo zrymam się niekiedy czytając różne recenzje...

Pytanie: Czy w naszej konkretnej sytuacji jest to niemożliwe?

J. SKOLIMOWSKI: Jest to dosyć trudne, gdyż byłoby to interwencje osobiste, jednak. Mam dosyć trudną sytuację, jestem trochę młodszy od innych — robienie uwag z tej pozycji jest dosyć trudne. Gdybyim został laureatem nagrody państwowej, co mnie może spotkać za 50 lat, to wówczas przypomniałoby te wszystkie uwagi, które mam dzisiaj...

Pytanie: Czy praca przy „Niewinnych czarodziejach”, a więc najpierw przy scenariuszu i później udział jako aktor, czy to było pierwsze praktyczne zetknięcie się Pana z filmem, czy też nie?

J. SKOLIMOWSKI: Jaki film był wcześniej „Czarodzieje” czy „Eroica”?

Pytanie: „Eroica”. J. SKOLIMOWSKI: Kamere pierwszy raz widziałem podczas zdjęć do „Eroiki”, gdzieś w 58 roku, wtedy poznałem Andrzeja Munka. Mam chyba prawo powiedzieć, że zaprzyjaźniłem się stopniowo podczas kilkuletniej późniejszej znajomości. Munk dopomagał mi zresztą w

moich pierwszych krokach w PWSF i w moich scenariuszowych poczynaniach. Jest na przykład bardzo mało znany fakt, że Munk konsultował nam scenariusz „Noża w wodzie”, szereg jego wersji. Przechowywuję nawet w domu kolejne wersje tego scenariusza upstrzone uwagami Munka, bardzo czasami celnymi i złośliwymi, które nam jednak dopomogły w pracy.

Wracając do przerwanego wątku: rzeczywiście po raz pierwszy przy realizacji „Eroiki” zobaczyłem żywego reżysera, jakim był Munk, po raz pierwszy zobaczyłem kamerę, aktorów... To była ta część zimowa „Eroiki”, która nie weszła ostatecznie do filmu. Tam też po raz pierwszy zagrałem, mianowicie dublowałem w jakiejś scenie aktora, który nie mógł jeździć na nartach... Ja też nie jeździłem zbyt dobrze, ale byłem straszcem. (...) To był mój start filmowy, może to efektownie zabrzmieć, że zacząłem jako kaskader...

Pytanie: Pozostając we wczesnym okresie Pańskiej biografii filmowej chciałem zapytać, jak wyglądała współpraca z Polańskim przy pisaniu scenariusza do „Noża w wodzie”?

J. SKOLIMOWSKI: Zdawałem do Szkoły Filmowej, zresztą też później, jak gdyby... Było to lato 59 i trwały atelierowe zdjęcia do „Niewinnych czarodziei” w Łodzi... Nie chciałem tak całkowicie mistyfikować tej sprawy, ale tak mi się wydaje, że to chyba Wajda powiedział: „Dlaczego właściwie nie pójdziesz zdawać do Szkoły?”. Na to ktoś odpowiedział, że i tak już się

egzaminu rozpoczęły, więc mógłbym dopiero za rok... Ja to usłyszałem, pomyślałem chwilę, polecałem do tej Szkoły i rzeczywiście był to, zdaje się, trzeci dzień egzaminów i zapytałem czy nie mógłbym zdawać. Popatrzyli na mnie dosyć dziwnie, ale pomyślnym zbiegiem okoliczności szybko formalności zostały załatwione i już za chwilę byłem wśród innych debiutantów. Przyjeżdżaliśmy wówczas 5 osób z leżby prawie stu zdających. Może dopomogło mi do zdania to, że traktowałem ten egzamin dosyć niefrasobliwie. Ja w ogóle kina wówczas nie traktowałem zbyt serio. Byłem młodym poetą wydającym akurat swoje pierwsze książeczki i to mnie właściwie pochłaniało omalże bez reszty, a ten film... to było tak nierealne (...).

Pytanie: Czy Pan wtedy miał już skończone jakieś studia?

J. SKOLIMOWSKI: Ja miałem mnóstwo porozpoczynanych studiów i udawałem, że skończyłem jedno z nich, to znaczy przedstawiałem tam indeks, w którym oczywiście brakowało szeregu podpisów i zdanych egzaminów, ale teoretycznie były to studia doprowadzone prawie do końca, bo niektóre podpisy miałem już z końca studiów, a nie zwrócono uwagi, że w pierwszym roku miałem mnóstwo dziur. Były to studia etnograficzne...

Pytanie: Wracając raz jeszcze do „Noża w wodzie”: jak przebiegała praca nad samym scenariuszem? Czy Panowie robiliście to wspólnie czy też Polański napisał scenariusz, a Pan się dopiero w trakcie włączył?

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

LITERACKA LOKOMOTywa ROZJARZONA DO BIAŁOŚCI

— tak nazwał niedgdyś Paula Févala jeden z krytyków, chcąc w ten sposób podkreślić jego niespożyty energię twórczą i zapal pisarski. Obecnie, w 150 rocznicę urodzin pisarza, francuska telewizja przypominała, nieco już zapomnianego, Févala, nadając



Paul Féval w karykaturze.

w sześciu kolejnych odcinkach adaptowaną dla małego ekranu jego powieść pt. „Bossu” (Garbus).

Paul-Henri Corentin Féval urodził się w Rennes 26 listopada 1817 roku. Po ukończeniu szkoły średniej w rodzinnych mieście, przybył na studia prawnicze do Paryża, które traktuje właściwie jako pretekst, by dostać się do stolicy i bliźniaczki literackiego talentu. Studiów nie kończył, a jego próby literackie nie przyniosły mu powodzenia. Pracując w Paryżu jako urzędnik bankowy, następnie jest inspektorem w towarzystwie reklamowym, potem zajmując się dziennikarstwem, wreszcie pracując jako korektor w jednym z większych czasopiśmie. Wtedy udaje mu się wydrukować kilka artykułów w „Le Nouvelliste”. Potem drukuje jeszcze kilka nowel. Jedną z nich pt. „Klub fok” przynosi mu sukces. W jakiś czas potem Féval publikuje powieść, której tematem jest życie mieszkających w Bretanii. Dzieło się w czasie, kiedy zachwycono się powieściami Sue’go „Tajemnice Paryża”, powieścią drukowaną w odcinkach w gazecie, którą co rano rozchwytywały tłumy czytelników.

Paul Féval otrzymuje od redaktora dziennika „Courrier Français” propozycję napisania podobnej powieści, w podobnym stylu, tylko że o tajemnicach Londynu. Mimo, że Féval nigdy w Anglii nie był, a o Londynie ma niewielkie pojęcie, podejmuje się wykonania zamówienia. I oto czytelnicy „Courrier Français” czytają codziennie powieść w odcinkach „Tajemnice Londynu” podpisywaną przez Févala całkowicie zmyśloną nazwiskiem o brzmieniu angielskim. Po napisaniu pierwszego tomu tej powieści autor wyjeżdża też do Londynu, aby zebrać dokumentację dla dalszych tomów. Istotnie po powrocie z Wielkiej Brytanii pisze 10 dalszych tomów „Tajemnice Londynu”. Potem próbuje, ale bez powodzenia, pisać sztuki teatralne, zajmuje się pracami historycznymi, ale wreszcie poświęca się całkowicie pracy literackiej. Ogółem Paul Féval napisał 200 tomów powieści i nowel. Zdobył znaczne pieniądze i zaszczyty. Nagrodzono go Legią Honorową, został wybrany na prezesa Związku Literatów.

W wieku lat 60, po 35 latach pracy literackiej opada w skrajny konserwatyzm religijny i zabiera się do poprawiania swych opublikowanych już dzieł, aby usunąć z nich to wszystko, co nagłe wydało mu się niezgodne z religią, lub dobrymi obyczajami.

Pod koniec swego życia Paul Féval lokuje pieniądze w niepewne interesy i jedynie pomocy Związku Literatów zawdzięczać należy, że pisarz nie umarł w skrajnej nędzy.

PERYSKOP W GROBOWCU TRACKIM

Na zaproszenie rządu bułgarskiego UNESCO wysłała do miejscowości Kazanlyk w Bułgarii komisję ekspertów, która miała opracować sposoby zapobieżenia niszczeniu się fresków w jednym z najpiękniejszych traktów grobowców z V-IV w. p.n.e. Grobowce te znajdują się w Kotlinie Kazanlykiej. Grobowiec, o który chodziło, ma wysokość trzech metrów, podstawę kwadratową, sprowadzony zaś jest z cegły i przykryty kopułą. Sciągany wewnętrzne budowlę

połkryte są freskami przed stawiającymi wojowników, konie, rośliny. Najcenniejsza jest jednak dekoracja wnętrza kopuły. Tu na ścianach wyobrażona jest scena pogrzebowa, wizerunki zmarłego i jego żony w otoczeniu służby, niewolników, muzykantów, stojących oraz koni.

Ponieważ udostępnienie grobowca zwiedzającym, spowodowałoby zwiększenie nawilgocenia powietrza, co z kolei zagroziłoby freskom, komisja ekspertów zasugerowała, prócz innych środków konserwacyjnych, zastosowanie specjalnego peryskopu. Pozwalałoby on na dokładne obejrzenie grobowca bez konieczności wchodzenia do niego.

RYSZARD STRAUSS NIE — BOHATER

Na brak ostrej, często zjadliwej krytyki Ryszard Strauss nigdy nie mógł się uskarżać. Jednak najostrejszym, jak dotąd, jego krytykiem okazał się George R. Marek, urodzony w Wiedniu, gdzie przebywał długie lata, a obecnie mieszkający w Ameryce. Wydał on książkę pt. „Richard Strauss. The life of a Non-Hero” (Ryszard Strauss. Życie Niebohatera).

Marek w swej książce zastanawia się m. in. nad upadkiem twórczej siły Straussa. Według Marka, Strauss wzniósł się na znaczny wyżyny artyzmu swymi wczesnymi dziełami. Trwało to dość długi czas, ale potem, nagle kompozytor obniżył swój lot, poszedł na kompromisy za dowołał się już tylko drugorzędności. Utracił samokrytykę, spojrznie, powtarzał te same formuły, a muzyczne wartości zastąpił sztuczkami orkiestralnymi. Krytyk tłumaczy upadek wielkiego kompozytora upadkiem kultury w ówczesnych Niemczech. Romanityka Straussa, jak pisze, została rozdarta bagietami i odłamkami granatów. Opery Straussa przynosiły mu sławę i uznanie w ówczesnych Niemczech, ale np. „Salome” jest dziełem dekadencjonalnym, fin-de-siècle’owym, a inne opery tania muzyka teatralnych wariacji, czystym produktem wilhelmskiej ery.

Biograf Marek twierdzi dalej, usprawiedliwiając nieco Straussa, że był on produktem i odbiciem tego jądowego świata w jakim się znalazł, a w którym artysta miał niewiele do zrobienia. Strauss nie był bynajmniej nazistą, ale nie był też — jak twierdzi Marek — antynazistą. Był oportunistą. „Dla mnie — pisał Strauss w roku 1935 do przebywającego w Szwajcarii Stefana Zweiga — naród istnieje dopiero wtedy, gdy staje się publicznością. Obojętnie się składa się ona z Chinczyków, Bawarczyków, Nowozelandczyków czy berlińczyków, jeśli ci ludzie opłacili pełną cenę za bilet wstępu”. Ow list został przechwycony i otwarty przez Gestapo, a jego kopia pokazana została Hitlerowi.

Po wojnie — pisze Marek — Strauss zademonstrował ponownie swój egoizm i oportunizm. Pewnego razu tłumaczył bowiem swemu przyjacielowi: „Naziści byli zbrodniarzami — zawsze to wiedziałem”. Ale dodał natychmiast swe uzasadnienie: „Zamknęli teatry i nie można było wystawić moich oper”.

W ramach przygotowań do obchodu 50-lecia Wielkiej Rewolucji Październikowej otwarta została w Pradze wystawa poświęcona życiu i twórczości wielkiego pisarza rosyjskiego, Lwa Tolstoja.

WYSTAWA POŚWIĘCONA PAMIĘCI TOLSTOJA

W ramach przygotowań do obchodu 50-lecia Wielkiej Rewolucji Październikowej otwarta została w Pradze wystawa poświęcona życiu i twórczości wielkiego pisarza rosyjskiego, Lwa Tolstoja.

Na uroczyste otwarcie wystawy przybyli najwyżsi dostojnicy państwa Czechosłowackiej Republiki Ludowej. Mówcy podkreślali żywe zainteresowanie jakim cieszyła się i cieszy twórczość Tolstoja wśród Czechów i Słowaków.

Wystawa zgromadziła 115 ekspozycji z muzeum L. N. Tolstoja w Jasnjej Polanie i w Moskwie oraz 100 ekspozycji z czechosłowackich archiwów literackich. Są tu m. in. rękopisy Tolstoja, jego dzienniki, rysunki, liczne i rozmaite przedmioty codziennego użytku. Na wystawie zgromadzone też listy jakie wymieniał Tolstoj ze swymi przyjaciółmi i słowami korespondentów, a także wiersze, które wielki pisarz rosyjski otrzymał ponad 200 listów, których nadawcy zamieszkiwali na ziemiach obecnej Czechosłowacji.

Wystawa praska przypominała też m. in., że Słowak, doktor Makowski był przy śmierci wielkiego pisarza. To on towarzyszył Tolstojowi,

gdy ten wyszedł z domu w noc 28 października 1910 roku.

„Notatki z Jasnej Polany” pisma doktora Makowskiego, liczące ponad 6 tysięcy stron manuskryptu ukażą się niebawem w druku.

W okresie poprzedzającym otwarcie wystawy jej organizatorzy zwrócili się do szeregu słynnych pisarzy z prośbą o odpowiedź jak jest ich stosunek do twórczości Tolstoja. M. in. André Maurois opisał, że choć jest wielbicielem Balzaca i Stendhala to jednak Tolstoj jest mu bliższy.

„Bohaterowie Tolstoja...” — pisał Maurois — tak weszli w moje życie, jakby żyli, jakby ich osobiście znałem. Dawniej już projektowałem napisanie biografii Tolstoja, ale zlekkałem zbyt długo i zrobili to doskonale inni”.



Andre Maurois

docteur O'Grady” (przekład polski ukazał się pod wspólnym tytułem: „Oddech wojny”).

Od tej pory dąży się wciąż rosnącą poczytność książek Maurois i jego sława. Pięć interesujących pogłębione psychologicznie i socjologicznie doskonałe biografie wybitnych ludzi (m. in. o Byronie, Hugo, George Sand, Flemingu),

obszerne monografie, z których najbardziej znana jest książka „Dzieje Anglii”. Liczne powieści jak „Klimaty”, „W rodzinnym kręgu”, „Instynkt szczęścia”, powieści pisane na wzór opowiadań filozoficznych, w których zawarł elementy science-fiction np. „Człowiek, który wylądował”, „Maszyna do czytania myśli”.

Kilkakrotnie przebywał w Ameryce, gdzie był profesorem na uniwersytecie w Princeton. Jest współautorem dzieła pt. „Paralela historyczna” (w książce tej opracował historię Stanów Zjednoczonych. Aragon zaś historię Związku Radzieckiego).

BIENNALE ILUSTRACJI KSIĄZEK DLA DZIECI

W październiku br. w Domu Kultury w Bratysławie odbędzie się pierwsze międzynarodowe biennale ilustracji książek dla dzieci. Przewidziane są nagrody, które przyznawane będą przez międzynarodową jurę. W trakcie trwania wystawy odbędą się konferencje i kolokwia.

OBRAZY DO WYPOŻYCZENIA

Jeżeli informuje paryski dziennik „Le Figaro” już od roku można w Paryżu za niewielką opłatą roczną wypożyczyć dzieła sztuki, zwłaszcza obrazy i tkaniny artystyczne. Obraz wypożycza się na okres trzech miesięcy, po czym oddaje się go i otrzymuje inny. Tkaninę artystyczną zmienia się co dwa miesiące. Również i w Hawrze, tamtejszy Dom Kultury zamierza się wypożyczać dzieła sztuki. Jest to we Francji całkiem nowy sposób popularyzacji sztuki i kłaktyw artystycznej.

NAGRODA POKOJU DLA MALARZA Z MEKSYKU

Znany radziecki pisarz Borys Polewoj wręczył meksykańskiemu malarzowi Davidowi Alfaro Siqueiros, Leninowską Nagrodę Pokoju. Malarz oświadczył, że związana z tym sumę pieniężną przekazuje dla narodu wietnamskiego.

Uroczyste wręczenie nagrody odbyło się w ambasadzie ZSRR w Meksyku.

J. SKOLIMOWSKI: Nie, kiedy ja przystąpiłem do współpracy z Polańskim, nie nie istniało na papierze. Była opowieść Romka, którą opowiadał on zresztą wszystkim przy każdej możliwej okazji, w SPATIE, pociągu, w tramwaju, na schodach w Szkole, wszędzie zresztą, udoskonalając w ten sposób tę opowieść. Była ona chyba jeszcze zbyt uboga na film i dosyć wątpliwa dramatycznie, no i zupełnie nieukształtowana. Rzeczywiście, to co mogę sobie poczytywać za zasługę, to to, że wniosłem konstrukcję dramatyczną. (...) Technicznie wyglądało to w ten sposób, że myśmy się na tydzień zamknęli... trzeba jeszcze dodać, że było to upalne lato 1959... zamknęliśmy się w jego mieszkaniu, Basia Kwiatkowska donosiła nam różne orzeźwiające soki, żebyśmy mogli zachować przytomność umysłu i my opatuleni w mokre prześcieradła siedząc przy zastawionych — ze względu na piekielny żar — oknach, wymyślaliśmy w pocie czoła, całą tę historię (...). Napisaaliśmy ją w tydzień, a może w 6 dni.

PYTANIE: A takie pytanie, może trochę dziwne: czy Pana nie kociło wówczas, żeby ten film zrobić samemu?

J. SKOLIMOWSKI: W ogóle mi to nie przyszło do głowy. Ja zresztą wówczas byłem jeszcze tak daleki od myśli, że mógłbym realizować film. Będąc w Szkole na pierwszym roku, naprawdę trudno jest myśleć o tym, że się kiedykolwiek będzie robiło filmy. Świa-

domość tej przepaści, która dzieli studenta pierwszego roku od twórcy, który prezentuje swoje filmy na ekranie jest tak wielka i właściwie tak przegniebiająca... (...).

PYTANIE: Jeśli chodzi o sam okres studiów, to niektórzy z naszych reżyserów, którzy ukończyli Szkołę, często mówią, że duża część wiedzy, zdobyli dzięki oglądaniu starych filmów. Jak to było z Panem, czy lubił Pan „chodzić do kina”?

J. SKOLIMOWSKI: Chodzenie do kina było jedną z form niechodzenia na wykłady. Ponieważ zawsze i na wszelkich studiach jest pewnym snobizmem niechodzenie na wykłady, oczywiście przesiadywałem w salach projekcyjnych. Tam się nie tylko oglądało filmy, były to prosto kultury dla roznów towarzyskich, okazja do lektury podczas projekcji, jakieś tam filtry i tak dalej. Nie przeceniam specjalnie roli oglądania starych filmów (...). Wszystko czego się nauczyłem w Szkole, i co zawdzięczam Szkole, to jest właśnie danie mi możliwości praktycznego wykonania filmu, a później ocena tego filmu przez fachowców. I właśnie dobrze, że oceny dokonują różne osoby, z różnych punktów widzenia, bo to właśnie uczy (...). W polskiej Szkole ta sprawa przedstawia się imponująco, bo na każdy rok studiów wykonuje się przynajmniej jeden, często dwa, a nawet więcej filmów. Ja sam wykonałem w Szkole minimum 7 efektów plus cały „Rysopis”, który można by rozbić na kilkadziesiąt filmików (...).

PYTANIE: Kiedy Panu przyszedł do głowy pomysł „Rysopisu”, żeby ten film realizować w odcinkach, a potem go „złożyć”?

J. SKOLIMOWSKI: Ja opowiadałem taką efektowną historię, że poszedłem do Szkoły jedynie w celu zrealizowania „Rysopisu”, to oczywiście brzmi lepiej. Wersja prawdziwa jest trochę inna: „Rysopis” to był pomysł na przetworzenie Szkoły, na jakąś samobronę przed świadomą izolacją od życia, na kilka lat. Musiałem porzucić zawód, dom rodzinny, kraj swoich znajomych. (...) Właściwie miałem już jakąś tam pozycję literacką wówczas, ponieważ nie mogłem gościć studiów z zawodem, była to świadoma rezygnacja, w zamian za to szukałem rekompensaty. Za małą rekompensatą była dla mnie ewentualność zdobycia za lat kilkanaście możliwości debiutu — też niepewna, na co składały się różne czynniki. Wówczas, chyba na drugim roku studiów zdałem sobie sprawę z tego, że gra jest warta świeczki jedynie jeżeli zdolam urzeczywistnić tego rodzaju przedsięwzięcie, jakim potem okazał się „Rysopis”. To tak stopniowo narastało, zarówno pomysł, jak i sama idea, żeby to był taki duży film. Od końca drugiego poprzez trzeci rok i dyplomowy czwarty, robiłem ten film.

PYTANIE: Czy władze szkolne były świadome tego co się dzieje, czy też nie bardzo?

J. SKOLIMOWSKI: Ja oczywiście byłem na tyle rozsądny, że przystępując do pierwszego ujęcia

tego filmu nie opowiadałem, że mam zamiar zrobić pełnometrażowy film, bo pewnie popatrzyliby na mnie z pewnym zacięciem, ale i niepokojem. Zaczęłem o tym mówić z chwilą, kiedy się stawały realne szanse na to, że mój zamiar się powiedzie, a i wówczas jednak spotkałem się z szeregiem powątpiewań, wzruszaniem ramion itp. Tym niemniej te powątpiewania były wyrażane raczej przez osoby niższych szczebli pracowników Szkoły. Natomiast muszę to podkreślić, członkowie pedagogów, profesorowie Wohl, Bossak, rektor Toplit, bardzo, bardzo w pewnym okresie mi dopomogli, podtrzymali mnie w tym zapale do zrealizowania całej tej sprawy (...).

PYTANIE: Z braku czasu, ostatnie — pytanie: czy Pana nie interesowałaby adaptacja filmowa „Opary za trzy grosze”, umieszczona w naszych warunkach społeczno-politycznych?

J. SKOLIMOWSKI: Interesowałaby mnie... Zetknąłem się kiedyś z takim scenariuszem o podobnym temacie, mianowicie współczesność „Manon Lescaut”. I też się zastanawiałem wówczas, czy to nie jest mi bliskie, ale ponieważ byłem zagrożony po uszy akurat w „Walkower”, czy „Barlery” to oczywiście wtedy nie zastanawiałem się nad tym tak głęboko. Na pewno jest coś frapującego w tym pomysle. A czemu Pan pyta o to?

PYTANIE: Przyszło mi to do głowy, kiedy oglądałem Pańskie filmy...

Rozmawiał:
BOHDAN ZIOLKOWSKI

Bez strachu

3-A

Dotychczas rozważałem kwestię strachu w układach: ja zagrożony przez innych, bądź inni zagrożeni przeze mnie — bądź każdy z nas zagrożony przez konstrukcję ludzkiego losu, z której nieuchronnie wynika śmierć... Pozostaje kwestia leku immanentnego — sytuacji, w której ja mogę się lekkać siebie. Możliwość ta pojawia się, ponieważ nie jestem autonomiczny, ale autokreacyjny i ponieważ siły samotwórcze, obecne we mnie, nie wyczerpują się w świadomości i refleksji. Nigdy nie znam do dna mych mocy samotwórczych — to zresztą warunek konieczny samotwórczości — w przeciwnym razie autokreację zastąpiłoby techniczne rośnięcie. Zmierzając do pięknej konstrukcji własnego losu, poutanawiem godnym zgonem, weale nie pragnę śmierci przedwczesnej, śmierci przed dokonaniem dzieła własnego życia, a oto wychodzę na balkon i z upodobaniem spoglądam w dół, po pewnym czasie ów daleki pod balkonowy dół poczynają mnie „ciągnąć” — zaczynam palce na poręczach i patrzę, coraz niżej pochylając głowę, ciężka nagie jak jeden z kamieni pokrywających podwórkę. W tej chwili rozgrywa się jedno z drobnych złudzeń — niedobra, oszukańcza zabawa między mną a światem przedmiotowym. To nie „dół” mnie ciągnie, to ja igrzę do „dół”. Wydaje się, że kamienie przynajmniej, a ja przylgnę zmiażdżonym ciałem do nich. Jest to krzyk pierwotny, nierozwiniętych bytów, od których się w niepamiętnych czasach odłączyłem, zorganizowałem się wyżej, stworzyłem, osiągnąłem psychikę, myślenie, świadomość. W tej ciężkiej chwili kamienisty „dół” przypomina mi o zamierzonym pokrewieństwie, krzyczy o własnej krzywdzie: „Jesteś człowiekiem, a powinność być jednym z nas, wracaj do nas, nie zapieraj się krewnych”. Wszystkie to kłamstwo — kamienie milczą, to ja, niezmiennie zmęczony sobą, krzyczę w ich imieniu. Wypoczął kamieniem odpoczynek, skończy z dręczącym samotwórczym — wejść w u- pragniony dół. Nie mogę zatem ufać sobie do końca — jest we mnie prąta ry składnik wewnętrzny, pragnący wyłączenia, wyłączenia kosztem rozbicia całości. Muszę zatem przeciwzyć siebie w takiego, któremu mógłbym ufać do końca, dościsnąć, bym mógł spojrzeć w lustro bez lęku. Myśl o tym zadaniu odświeża mnie. Walczę z lękiem przed samym sobą, tendencja samotwórcza zderza się z tendencją samozagłady. Gdybym znał samego siebie do dna, nie lekabym się siebie nigdy, albo lekabym się siebie zawsze. Ponieważ znam się tylko fragmentarycznie — lękam się siebie chwilami. Weale nie jestem swoim najlepszym przyjacielem, są tacy, którym mogę ufać bardziej niż sobie samemu. Są więc tacy, którzy mnie bardziej lubią niż ja sam siebie — tak moenych i silnych w przyjaźni mam przyjaciół. I oni budują wraz ze mną złudę, że są bardziej mną niż ja — tylko oni ciągną mnie „w górę”. Pełen winy spoczywam poniżej miejsca, które powinienem zajmować — powinienem bowiem być wśród nich, zostać z nimi. Złudzenie — odwrotność złudzenia kamieni, to ja sam pociągam się w górę, to ja ich wymyślam, ich stwarzam. Kamienie i przyjaciele, zostawcie mnie w moim miejscu, ja sam wytworzę swój los, chociaż lekam się siebie, nie przecię nie zawsze — są tylko takie chwile.

BERNARD SZTAJNERT

Ponure apele tej treści raz po raz przewijają się w komunikatach radiowych. Pokąsania przez psy mnożą się z roku na rok, mniej więcej proporcjonalnie do stale rosnącej liczby psów w naszym mieście. W ostatnich paru latach „psia sprawa” rozrosła się już do takich rozmiarów, że wymaga niezwłocznych decyzji i radykalnych rozwiązań.

Pies bezański jest biednym, bezdomnym włóczęgą, najczęściej ofiarą bezdusznosci człowieka, który najpierw go przygarnął, a później odteścił i wyrzucił na ulicę.

Według danych łódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej, w roku 1963 zarejestrowano w Łodzi 566 pokasań ludzi przez psy. W roku 1964 — 1045, w r. 1965 — 1163, w r. 1966 — aż 1403 pokasania. Tendencja wyraźnie rosnąca. A ilu pokasanych zgłoszono? Pewną część pokasanych poddano oczywiście lewemu, które, jak to wiadomo, nie jest obojętne dla organizmu człowieka i nieraz wywołuje działania uboczne.

Skąd się wzięło aż tyle psów bezdomnych? Co z nimi zrobić? Kto ma się tym zająć?

W roku 1961, na mocy pisma okólnego nr 48 Minister-

waniu bezpańskich psów, łapać je i transportować do schroniska, na telefon/cznie po wiadomienie udać się pod wskazany adres, zabrać z ulicy waleśnjącego się lub chorego psa i przewieźć go do schroniska, propagować hasła Towarzystwa o humanitarnym traktowaniu zwierząt, więc dotrzeć z nimi do ludzi, no i jeszcze pewne czynności administracyjne. Dwóch ludzi na tak ogromne miasto i tyle tysięcy psów! Wiadomo mi, że zarówno inspektor, jak i pomagający mu pielęgniarz, pracują dobrze, często ryzykując, narażając się na pokasanie przez psy. Ale przeciw dwóch ludzi nie może wykonać takich zadań. To jest fizyczna niemożliwość. Więc z konieczności tak pięknie nomyślana działalność przerodziła się w fikcję, koncentrując się głównie na akcji propagandowej, która polega na doprowadzeniu do świadomości ludzkiej prostego faktu, że zwierząt dręczyć nie wolno.

Zęby nie być głośliwym.
W kwietniu br. na 115 bez-
pańskich psów doprowadzo-
no do schroniska przez mie-
szkańców Łodzi, 17 doprowa-
dzili wspomniani pracownicy
TOZ. W maju br. na 118 psów
23 doprowadzono z akcji pra-
cowników TOZ. W czerwcu
br. na 105 — 8 z akcji TOZ.
W lipcu br. na 131 psów —
zaledwie 3 doprowadzili pra-
cownicy schroniska TOZ.
Wreszcie w sierpniu br. na
125 psów — 14 doprowadzo-
no z akcji TOZ.

Pies przebywa w schronisku 14 dni w oczekiwaniu na

Sadze, iż równolegle z tymi posunięciami odpowiednia agenda Rady Narodowej winna obracać zarządzenie Prezydium RN m. Łodzi, porządkujące w sposób ostateczny sprawy zwierząt domowych na terenie miasta. Sadzę również, iż należałoby powołać jakieś ciało na polu urzędowe i na polu społeczne, które doglądałoby, iżby akcja oczyszczania miasta od bezdomnych psów przebiegała w myśl wszelkich zasad humanitaryzmu. W jero skład mogłoby wejść przedstawiciel Urzędu Spraw Wewnętrznych Prezydium RN m. Łodzi, Wydziału Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej, SANEPID, Milicji Obywatelskiej, TOZ, Ligi Ochrony Przyrody i Związku Kynologicznego. Ten ostatni powinien skorzystać z okazji, by propagować idee hodowli psów rasowych, podobnie jak to robi w Czechosłowacji, NRD i Związku Radzieckim.

Działalność Schroniska dla psów przy ul. Śnieżnej jest oparta o subwencje budżetowe RN m. Łodzi w wysokości 350 tysięcy złotych rocznie.

4.
Jeszcze o kotach. Istną plagą miasta są zdziczełe koty, węgujące w komórkach, piwnicach, na strychach. Mając mate, są agresywne, rzucają się na ludzi, harcują po nocach, mnożą się w sposób przerażająco szybki. Po wypadku pokasania człowieka przez wściekłego kota na ul. Łisistej w sierpniu br., sprawa bezpańskich czworonogów w naszym mieście znoważa się w centrum uwagi społeczeństwa i władz miejskich. Tylko dzięki operatywności służby weterynaryjnej DRN Łódź — Batuty, która błyskawicznie wkroczyła do akcji, szczepiac już nie tylko koty i psy, lecz również trzode chlewna i konie, niebezpieczeństwo wybuchu wścieklizny zdławiono w zarodku. **Ba, ale ten wściekły kot mógł, na przykład, pokasać**

Dlatego też szybkie i zdecydowane działanie, zmierzające do zmniejszenia liczby bezpańskich psów i zdzieczalonych kotów jest sprawą nader ważną dla mieszkańców naszego miasta.

P.S. Psy zarejestrowane, żyjące — jeśli można tak powiedzieć — legalnie w naszym mieście, mają też z tego tytułu swoje prawa. Wierzę przede wszystkim muszą mieć jakieś wydzielone miejsca, w których mogłyby załatwiać swoje ważne sprawy życiowe i towarzyskie. To przynajmniej jasne, że trzeba gdzieś się spotkać, poplotkować, pohasać, pohalać, nie narażając się na gniew ludzi i... mandat.



**Lewym
okiem**

PRZY ORDERACH 7

Zresztą nie mam nic przeciw temu, żeby stałym ludziom sprawiać taką przyjemność. Niech się fotografują, niech przeczytają o sobie w gazecie. Chciałbym natomiast utracić swoje trzy grosze w generalnym temacie wyróżnień i odznaczeń.

W literaturze francuskiej nierzaz spotykamy motywy intrygi i zabiegów wokół Legii Honoru.

Zeby więc nie kłuć w oczy nikogo swoją ważnością i nie dać powodu do przypuszczeń, że się

Jacyż jesteśmy skromni! Skoro tamten nie nosi, to jakże ja mogę? Skoro jego stać na nienoszenie Krzyża Kawalerskiego, to co tu gadać o moim medalu dziesięciolecia? Aż wreszcie naprawdę wszystko przestaje się liczyć. Skoro ani groźza z tego nie ma, ani przyjemności żadnej, to po cóż mi medal? Po co mi wyróżnienie?

Rzeczywiście są ludzie odznaczani przy każdej okazji, którzy to już przestało bawić, ale są i tacy, którzy na swój pierwszy medal czekali dziesiątki lat, ciężko i rzetelnie na niego zasługując. Dajmy tym ludziom satysfakcję. Zażejmymy z nich serwitut skromności. Niech się ukaże przepis, nakazujący wszystkim w pewnych okolicznościach wystąpić „przy orderach”. Wtedy i ten mniejszy będzie miał przyjemność, i ten wielki nie bez zdziwienia zobaczy kogo odznaczyć, a kogo pominąć, i wartość odznaczeń w ocenie publicznej wzrośnie. Chyba warto, żeby wzrosła. Chyba to ważne.

CWIEK